№ 38. Warszawa, dnia 18 (6) Września 1886 r. Rok VI

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.
**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.



Jak to już dawniej zaznaczyliśmy, zapomocą kwartalnych dodatków do *Prawdy* staramy się zaopatrzyć naszych abonentów w dzieła naukowe, które by służyły za podręczniki do poznania różnych działów wiedzy. Wydaliśmy dotąd *Główne prądy literatury XIX w.* J. Brandesa, *Ekonomię polityczną* — pracę zbiorową slynnych badaczów niemieckich, wreszcie *Logikę* J. Liarda; z kolei teraz otworzymy dziedzinę socyologii. Zanim nakładem naszym wyjdzie gienialna książka Morgana (*Pierwotne społeczeństwo*), od bieżącego kwartału rozpoczniemy w dodatku kwartalnym druk cennego dzieła Espinasa *Społeczeństwa zwierzęce*, w przekładzie J. K. Potockiego, gdzie mieści się historyczny przegląd główniejszych teoryj socyologicznych. Skoro czytelnik naprzód pozna ten obraz poglądów, później — ustrój życia zbiorowego zwierząt, następnie—organizacyę ludów pierwotnych, najgruntowniej i bez trudu zrozumie stopniowy rozwój wiązań i stosunków społecznych oraz ich postać obecną w cywilizacyi. Praca Espinasa, obok umiejętnego wykładu, zaleca się wdziękiem i jasnością formy, oraz doborem wymownych a ciekawych faktów i przykładów.

Z powodu nadchodzącego nowego kwartału prosimy szan. abonentów o wczesne odnowienie przedpłaty.

## POLITYKA.

### BEZ OPORU.

O Goethem dłużej ludzie mówią i mówić będą, niż o księciu bułgarskim, ale i do Battenberga można obecnie zastosować ten wykrzyknik, którym Du Bois-Reymond chciał uciszyć wrzawę nad poetą niemieckim: „Nie ma końca!" Ani sam bohater, ani jego wrogowie i przyjaciele nie spodziewali się nigdy, że on kiedykolwiek stanie na szczycie wypadków europejskich, na ich pierwszym planie. Rzeczywiście, pomijając samego księcia Aleksandra, który już zszedł z widowni i jeśli nawet z pomocą angielską znowu na wierzch wypłynie, zapewnie ani pozyska tak szerokiego rozgłosu, ani nie odegra tak ważnej roli, stan rzeczy, wytworzony w Bułgaryi z jego i bez jego woli, ma bardzo doniosłe znaczenie, jako pole zetknięcia się i starcia interesów mocarstw, wodzących rej w Europie. Zwycięzką jest dotąd Rosya — zagrożonemi Austro-Węgry i Anglia. Bezpośrednio więc nasuwa się pytanie: czy te dwa państwa myślą odeprzeć szach i jakim sposobem?

W pierwszej chwili wiedeńskie bibuły, używane do tłomaczenia a raczej zaciemniania usposobień i zamiarów rządu, składały obojętność i chciały nią natchnąć opinię. Nastrzykiwanie to wszakże nie udało się, „rozum poddanych," zwłaszcza węgierskich, pojął niebezpieczeństwo i zaczął na nie dzwonić. Wtedy po obłudzie nastąpiły ostrożne wieloznaczniki, które miały wyrażać energię i gotowość do śmiałej obrony, a w istocie nic nie wyrażały. Nareszcie dzienniki madziarskie bąknęły o potrzebie „kompensaty" i dojrzały ją w „ostatecznem przyłączeniu Bośni i Hercogowiny." Nie wiadomo, czy tak żądzę austryacką przykrajał ks. Bismark, w każdym razie dotychczas dalej ona nie sięga i z komicznie kwaśną miną ogranicza swoje interesy do „zachodniej części półwyspu Bałkańskiego." Austrya jest to taki dziwny organ Europy, że dla zbadania jej stanu należy opukać i osłuchać Niemcy; ponieważ zaś te opierają się wszelkim sztukom dziennikarskiej auskultacyi i perkusyi, więc trudno odgadnąć, co w jej wnętrzu zachodzi i do czego ona jest zdolną po za posłuszeństwem ks. Bismarkowi. Przy rachunku tedy prawdopodobieństwa rozwoju wypadków nietylko można, ale trzeba ją wyłączać albo raczej zastępować znakiem ilości niewiadomej, w którą algebraista berliński wstawi dowolną wartość.

Pozostaje Anglia. Stamtąd od lat wielu odzywają się tylko głosy kupiectwa zatrwożonego, ufnego w swą siłę pieniężną lub udającego spokój. Oprócz Niemiec, żadne inne państwo w Europie nie radeby tak wszelkiemi siłami utrzymać „istniejącego porządku rzeczy," jak ta „pani mórz." Ciągnie ona bowiem z niego olbrzymie korzyści, których niezdołałaby obronić w wybuchu wielkiej wojny. Jej potęga, w odniesieniu do obecnych wymagań i stosunków, jest poniekąd legendową a wpływ ciągle wielki. Nie zapominajmy, że w ciągu ostatnich lat kilkunastu wszystkie mocarstwa europejskie uzbroiły się „po zęby," rozwinęły szaloną działalność militarną, wytężyły cały zasób swych środków dla stworzenia milionowych armij, słowem — podążyły szybko w tym kierunku, w których Anglia nie posunęła się ani o krok naprzód. Wyznaje ona to sama. „Wszystkim tym — pisze *Pall Mall Gazette* — którzy pochopnie żądają, ażeby Anglia przyjęła czynniejszy udział w sprawach lądu stałego, polecamy do szczególnego rozważenia wyrazy, które berliński korespondent *Standarda* kładzie w usta ks. Bismar-

kowi. Kanclerz niemiecki — uczą nas — nie mógłby otrzymać żadnego *quid pro quo* za poparcie interesów angielskich na Wschodzie. Rozumie się, że — nie: Anglia bowiem nie ma żadnych interesów w Europie wschodniej, któreby nie dotyczyły innych mocarstw. Nie dość tego — nawet gdyby je miała, to nie posiada wcale armii do obrony ich, a jej flota nie liczy się w wojnie lądowej. Nie możemy rościć sobie pretensyi do okazywania siły na tem polu. Mamy mniej żołnierzy, niż Bułgarya lub Serbia i po prostu zniknęlibyśmy w wojnie, w której uczestniczą miliony wyćwiczonego wojska. Ceną uroku starej daty, do którego nasi szowiniści wzdychają, jest konskrypcya — ogólna powinność wojskowa. Dopóki tej ceny nie zapłacimy, ks. Bismark nie zalicza nas do państw, z któremi warto układać się według zasady *do ut des*. Mocarstwo, które nie może ani błogosławić, ani wyklinać, nie jest w stanie współzawodniczyć co do sojuszów z Francyą lub Rosyą. Im prędzej jasno to poznamy, tem lepiej dla nas i dla wszystkich tych, którzy czują pokusę budowania na naszej pomocy. Po za Europą reguła ta nie obowiązuje — i tam spoczywa nasza właściwa siła."

Dawno już z ust angielskich nie słyszeliśmy tak szczerego wyznania. Zbyt widocznie Anglia wysuniętą została z koła potęg europejskich, ażeby mogła dalej grać rolę, którą jej odebrano. Tak, w Europie ona straciła głos, bo straciła siłę, jest bezwładną, w handlu politycznym bezwartościową. I jeżeli *Standard* radzi swej ojczyźnie, ażeby „nie mieszała się do nominacyi następcy ks. Aleksandra“ i straszy Austryę smutnemi następstwami nieoględności, więcej w tem ostrzeżeniu wyraża własnej niemocy, niż dbałości o cudze dobro. Czuje ona, że ani okrętami, ani pieniędzmi nie dotrze do pola walki, więc radaby pchnąć innych, a tymczasem sama bądź udaje, że „nie ma osobnych interesów na wschodzie Europy,“ bądź puszcza rakiety z wiadomościami o zbrojeniu statków handlowych, bądź pisze energiczne noty, bądź wreszcie zrzuca maskę i — jak *Pall Mall Gazette* — składa broń.

Wobec tego żadne złudzenia nie osłonią, żadne frazesy nie zetrą faktu, że dopóki Rosya ma za sobą ramię ks. Bismarka, ciążące na Austryi — a ma je — dopóty na półwyspie Bałkańskim nie spotyka przeciwnika groźnego, tylko srogie cienie. Ponieważ zaś brak zupełnie dowodów, ażeby wiekowa przyjaźń rosyjsko-niemiecka naderwała się, owszem są znaki jej wzmocnienia się, przeto owo „dopóki“ prawdopodobnie trwać będzie jeszcze bardzo długo. Pokonanie Battenberga, bezbronnego wasala — to nie było tryumfem, tryumfem dla Rosyi jest dopiero pokonanie t. z. „Europy.“ Położenie rzeczy wkrótce się wyjaśni, zobaczymy niewątpliwie ów fakt w całej jego nagości. Anglicy sami usuwają grunt z pod budowy gmachów nadziei na ich sile, austryacy, milcząc, czynią to samo, potęgi niebieskie do spraw ziemskich już mieszać się nie chcą — więc wniosek?

## Z FRANCYI.

*Paryż, 30 sierpnia.*

Zakulisowe roboty polityczne. — Wiec międzynarodowy rolniczy w Paryżu.

Pomimo wczasów parlamentarnych, polityczna robota Rzeczypospolitej nie ustaje, odbywa się tylko za jej kulisami. Z tych gabinetowych tajemnic gazety żądne nowin wydobywają na jaw różne strzępy, a prym między niemi trzyma *Figaro*. Według tych informacyj, wykradzionych przez ciekawych reporterów, informacyj, które są może tylko dziennikarskiemi kaczkami, puszczonemi na płytką wodę posuchy letniej, zanosiłoby się na ważne zmiany w wewnętrznym ustroju. Oportuniści, wysadzeni z siodła i wyprzedzeni przez radykałów, uplanowali odpłacić pięknem za nadobne swym współzawodnikom i, zamiast iść potulnie za ich rydwanem, zająć napowrót miejsce przodujące. Ponieważ Rzeczypospolitej, staczającej się po radykalnej pochyłości utrzymać już nadal przy sobie nie mogą, uznali więc za *oportun* zwrócić się na prawo i losy swe złączyć z wymierającym *środkiem* republikańskim, któryby zasilała nowo zorganizowana „prawica republikańska.“ Okazały się już na parlamentarnem niebie różne oznaki tej nowej konstelacyi, której pierwszą gwiazdą ma być obalony naczelnik oportunistycznego gabinetu, p. Juliusz Ferry. Prezes ministrów, Freycinet zgadza się podobno dobrowolnie opuścić zajmowane obecnie stanowisko, otrzymawszy wzamian prezydenturę. Grevy, jak głoszą, chce ustąpić ze względu na zły stan swego zdrowia, o którego podkopaniu rozpisują się szeroko dzienniki, wciągnięte do zakulisowych robót. Czy wszystko to się uda — niedaleka przyszłość okaże, tymczasom zaś zwolennicy owej oportunistycznej kombinacyi starają się przekonać monarchistów, że restauracya orleanów we Francyi nie ma dziś widoków powodzenia, że wygnanie ich przyjął kraj obojętnie i nikt nie zrobi dziś na korzyść wydalonej monarchii zamachu stanu, ani pronuncyamentu, ani rewolucyi. Bogate natomiast mieszczaństwo, przestraszone wzrostem radykalizmu, poprze wszystkiemi siłami konserwatywną Rzeczpospolitę. Dla zyskania pomocy partyi klerykalnej, jednym z pierwszych punktów ugody będzie nietykalność konkordatu. Stosunki zresztą obecnego rządu z Watykanem, jak to wykazała świeżo sprawa mianowania posła kuryi rzymskiej w Chinach, są na dobrej stopie, a Ferry dawno już odbył pielgrzymką do Kanossy a raczej Rzymu i przygotował tam grunt dla swych planów.

Pozostawiając te plany polityczne własnemu ich losowi, przejdźmy natomiast do sprawy realniejszej, do międzynarodowego wiecu robotniczego, który ukończył właśnie swe posiedzenia w sali Redutowej. Na wiec ten przysłały swych delegatów różne kraje: Anglia, Niemcy, Belgia, kraje skandynawskie i Australia. Angielskie związki robotnicze, między którymi wyróżniały się *Trade-Union'y*, reprezentowane były przez sześciu przedstawicieli. Szwecya, Dania i Norwegia przyjęły również wybitny udział w kongresie, podobnie jak Australia, pierwszy raz licznie występująca na zjeździe tego rodzaju. Belgię reprezentowało trzech wybitnych przywódców ruchu robotniczego: Bertrand, Anseele i Cezar de Paepe. Niemcy i Austrya słabo się ukazały. Inicyatywę urządzenia zjazdu wzięło na siebie 70 robotniczych izb syndykalnych paryskich.

---

2)

# RYTMY.

### Fantazya.

Twórz i używaj! Oto pałac jaśnieje ponad morzem; jakby z marmuru ściany jego, dach na nim jakby z blachy złocistej.

Krągłym łukiem ku słońcu się wypina, szerokie a wielkie jego okna; przed niemi fontanny ciche pieśni grają; wodą biją ku słońcu, brylantami opadają.

Zawczasu powstawszy, ten, który zamieszkuje ów pałac, przegląda komnaty swoje, jasnemi komnaty przechadza się ów człowiek.

W której się zatrzyma? W tej-li, w której wszelka myśl ludzka, w rozlicznych zebrana księgach, otacza go jakby szachtami żelaza i złota; a on zaś, usiadłszy w pracowni swej, wytapia wiele myśli swej pługi i miecze, ażeby żywiły i broniły ludzkość, albo pierścienie i wieńce, iżby ją zdobiły.

W tej-li, w której jakoby w arce Noego, z wszelkiego, co ziemia wydała, znajdziesz wzory: kamienie, rośliny, zwierzęta; a on zaś, ogniem je topiąc, lub nożem rozkrawając, lub narzędziem szklanem na nie patrząc, wyśledza ich związki, czem zacz są w sobie.

Czy też wnijdzie do owej komnaty, w której jaśnieją postacie, sztuką ludzką stworzone, błogo uśmiechnięte — jedna zdumiona pięknością drugiej; schwyciwszy zaś młot i dłuto, uderzy niemi o kamień, pragnąc pięknem swem prześcignąć piękno zmarłych mistrzów?

A umęczony pracą, czy przysłuchiwać się będzie pieśniom fontan, i rozkoszować się wielobarwnym ich blaskiem, czyli uchyliwszy kotary, rozglądnie się po przybytku małżonki swej, bystrej, jako myśl badaczów, pięknej, jako posąg mistrzów, świeżej, a żywej jako liść na drzewie rosnący, jako łania leśna?

Którędyż po pracy, zwróci się wieczorem? Ażaliż, opuściwszy pałac swój, obejmie małżonkę swoją i wraz z nią spocznie na wzgórzu woniejącem, głaskając sarny swojej przedrzeźniające się papugom swym, w wesołości serca swego?

Czy w cienistym ogrodzie zastawić każe płoty, a powitawszy przyjaciół miłych sercu, naleje im wina cypryjskiego; przysłuchując się symfoniom mistrzów lub spoglądając na ruchy tancerek gibkich?

Lub czy samotny białym portykiem pójdzie aż na brzeg morza, a usiadłszy pod palmą szumiącą, spoglądać będzie na morze falujące i na niebiosa bezmierne, dumając o wszechbycie, o drobności człowieka i wspaniałości jego?

A kiedy noc zapadnie, czy z wieży pałacu badać będzie ruchy światów oddalonych, czy też uśnie snem rozkosznym ów człowiek, który tworzy i używa?

Ażali pytano się ciebie, czy istnieć pragniesz, zanim w życie wstąpiłeś? Wielmożnej woli człowieku, przyrody podbitej królu?

Czy w dostatku żyć pragniesz, czy tłukąc kamienie, chleb czarny chcesz spożywać, ażali pytano się ciebie?

Z roskoszy ludzi innych zrodziłeś się, jako grzyb na bagnie rozgrzanem, ku ziemi czarnej pochylisz się, jako kamień ku ziemi upada.

Pracę rąk twoich inni spożywać będą, jako plon na polu skoszony koszące cię; a zjadłszy ciebie, wyrzucą kości twe na śmiecisko, jakby kości wołu zjedzonego.

Myślą jesteś, którą wiatru powiew unosi; kamieniem, w którym mózg boga zamknięty.

Miał on charakter umiarkowany i w tym duchu zapadły uchwały, odpowiadające żądaniom francuskiego odcienia partyi robotniczej, noszącego nazwę *possibilistów*. Sześć dni trwające narady dostarczyły obfitego materyału co do położenia robotników w różnych krajach i ich żądań, niewykraczających z granic prawności. Było to przedstawicielstwo setek tysięcy zorganizowanych robotników; same Trade-Union'y angielskie liczą 625,324 członków; delegaci australscy przemawiali w imieniu 200,000 swych współtowarzyszów — ci ostatni złączeni są także w związek podobny do angielskiego. Ogłoszono zasady zgodności międzynarodowej; wynikł tylko zażegnany pokojowo spór między jednym z delegatów niemieckich a reprezentantami angielskimi. Zarzucał on Trade-Union'om oporne względem socyalistów stanowisko i kierunek zbyt umiarkowany, zarzuty, które wysłańcy angielscy energicznie odpierali, tłomacząc się warunkami, w jakich działają. Utrzymywali, że postępowali przezornie, zmierzają jednak do tych samych rezultatów.

Pod względem zarobku i ochronnego prawodawstwa fabrycznego najkorzystniej postawieni są robotnicy angielscy, francuscy zajmują miejsce pośrednie, sąsiednia Belgia — raj zasobnego mieszczaństwa — podobnie jak Holandya, trzymają klasę robotniczą w upośledzeniu. Robotnicy domagają się tam dotąd praw politycznych, wyrażających się w głosowaniu powszechnem, zarobki zaś ich stoją na niskim nader poziomie w porównaniu z Francyą i Anglią. Jak zaznaczył Anseele w przemówieniu, które nader sympatycznie zostało przyjęte, tkacze belgijscy zarabiają zaledwie 6—7 fr. na tydzień, kobiety w kopalniach 90 cent. dziennie, dochodzą zaś do 1 fr. 80 cent. pracując osiemnaście godzin na dobę. Średnia płaca zarobkowa nie przewyższa 2 fr. Belgia nie posiada przytem fabrycznego prawodawstwa, chroniącego kobiety i dzieci przed pracą nadmierną i wyczerpującą. Delegaci z Australii skarżyli się na uprzywilejowane stanowisko (szczególniej we względzie władania ziemią), jakie zajmują tam potomkowie dawnych zesłańców kryminalnych, tworzących dziś arystokracyę ziemską Australii i traktujący swych dzierżawców bezlitośnie. Nawiasowo dodam, że australczycy reprezentowali głównie robotników i drobnych dzierżawców rolnych.

Miejsce nie pozwala mi dziś wchodzić w bliższe szczegóły informacyjne, których więc dostarczył, podam tylko uchwały, jakie ostatecznie zapadły.

Na porządku dziennym były punkta następujące: 1) międzynarodowe prawodawstwo, dotyczące pracy; 2) wykształcenie ogólne i zawodowe; 3) związki robotnicze, narodowe i międzynarodowe, sposób ich organizacyi i osiągnięte rezultaty; 4) położenie polityczne i ekonomiczne pracowników w różnych krajach i 5) międzynarodowa wystawa robotnicza i kongres międzynarodowy, projektowane w r. 1889.

Co do punktu 1-go, uchwalono: wzbronienie pracy dzieci i wyrostków poniżej lat czternastu, oraz rozciągnięcie opieki nad dziećmi i kobietami; ograniczenie dnia pracy do ośmiu godzin i jeden dzień wypoczynku na tydzień; zakaz pracy nocnej, prócz wypadków wyjątkowych; obowiązkowość środków hygienicznych i dotyczących czystości miejsc pracy; wzbronienie pewnych sposobów fabrykacyi szkodliwych dla zdrowia; odpowiedzialność zarządzających za wypadki; ustanowienie inspektorów, wybieranych przez robotników i wreszcie oznaczenie minimum płacy zarobkowej dla wszystkich krajów. Wniosek dodatkowy, domagający się wprowadzenia zasady udziału w zyskach do międzynarodowego prawodawstwa został odrzucony znaczną większością.

Komisya, zajmująca się sprawami wykształcenia, przedstawiła wnioski, które zostały jednomyślnie przyjęte. Wnioski te domagają się zakładania wszędzie szkół zawodowych, do których uczęszczałaby wszystka młodzież robotnicza po wyjściu z początkowych, przynajmniej do 16 roku życia; dzieci rodziców, posiadających mniej niż 3,000 fr. rocznie, winny być wychowywane na koszt publiczny; szkoły zawodowe winny pozostawać pod nadzorem izb syndykalnych i komitetów pedagogicznych.

Co do punktu 3-go i 4-go, uchwalono zupełną wolność związków i tworzenie specyalnych organizacyj zawodowych.

Zanotowano następnie, że wystawa robotnicza i wiec międzynarodowy odbędą się w Paryżu w 1889 r.

Delegaci angielscy, żegnając swych towaszyszów, oświadczyli, że uchwalone rezolucye przedstawią na dorocznym kongresie Trade-Unionów, który rozpocznie swe obrady 7 września w Hullu. Na ostatniem posiedzeniu nadszedł telegram pozdrawiający od pierwszego kongresu stowarzyszeń robotniczych szwedzkich, duńskich i norweskich, który odbywa się obecnie w Gotenburgu.

*P.*

---

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Narady bułgarskiego zgromadzenia narodowego już się rozpoczęły, nie mają one jednak wielkiego znaczenia, ponieważ najważniejsza sprawa — wybór księcia, należy do t. z. wielkiego zebrania narodowego (weliko narodno sobranje), które rząd w tym celu zamierza jaknajrychlej zwołać. Korespondenci zagranicznych gazet sądzą, że ponowny wybór księcia Aleksandra ma widoki powodzenia, ale nie ulega również wątpliwości, że mocarstwa nie zatwierdzą go. *Nordd. Allg. Ztg* pomieściła już w tym duchu oświadczenie półurzędowe. Wogóle wybór księcia bułgarskiego spotka wielkie trudności, potrzebną jest bowiem zgoda mocarstw, która według własnego przyznania Rosyi, uczynionego podczas kongresu w Berlinie, powinna być jednomyślną. Anglia, która, wtedy przeciw jednomyślności protestowała, obecnie wysuwa ją jako żądanie nieodwołalne.

Pomiędzy wojskiem agitacya na korzyść ponownego wyboru księcia Aleksandra znajduje wielu zwolenników. Jeszcze przed odjazdem jego musiano aresztować kilku oficerów, którzy gwałtem chcieli zatrzymać księcia. Lud wiejski również stoi po jego stronie. Trudno rozstrzygnąć, o ile wiadomości te są wiarogodne i jeżeli nawet są prawdziwe, to czy znaczenie ich nie jest przesadzone. W Filipopolu w dniu imienin Cesarza rosyjskiego i księcia, przed konsulatem rosyjskim zebrały się tłumy ludności, które podzieliły się na dwie partye: zwolenników księcia i zwolenników Rosyi i wszczęły bójkę. Rozruchy te nie miały poważniejszego znaczenia, świadczą one jednak o rozdrażnieniu umysłów. Rząd tymczasowy i zgromadzenie wysłały w tym samym dniu telegram do Najjaśniejszego Pana z życzeniami. W odpowiedzi N. Pan wyraził nadzieję, że porządek i spokojność zostaną zachowane w kraju, w takim zaś razie Bułgarya pewną być może życzliwej opieki Rosyi. Jednocześnie zgromadzenie narodowe wysłało również telegram do księcia Aleksandra z powinszowaniem

---

Kiedy kamienie uskrzydlone latać będą po powietrzu, a powiew wiatru będzie miał ciężar kamienia, wówczas wola twoja będzie jako mózg twój, i wynijdziesz z klatki niewoli twojej.

### Życie snem.

Z nieświadomości zrodziłeś się, w nieświadomość śmierć cię przenosi; życie twoje snem krótkim było.

Urodziłeś się żebrakiem, mogłeś i królem się urodzić; młot losu, który czaszkę twą rozbija, mógł i tron dla ciebie ukuć.

Kobieta, co cię sępem gryzła, mogła jako słowik umilać życie twoje; otoczyła skronie twe wieńcem cierniowym, mogła i róże na nie włożyć.

Nie smuć się, skoro ząb myszy obudza cię zrana; o mało, a muzyka wyborna ocucałaby cię ze snu.

A skoroś się wycieńczył nędzą, albo zbytkiem potraw natężył żołądek swój, nie bolej, to sen tylko, a rychło staniesz się ziemią.

Wyciągnij ręce swe, na rozmaite napotkać możesz rzeczy; może uchwycisz złoto, może nóż ostry, może jabłko soczyste, może kamień suchy.

Połóż się na powierzchnię wody, kołysząc się jako dziecko usypiające, może woda cię uniesie, jako trawkę lekką?

Ze szczytu wieży wysokiej zwieś się w powietrze; może polecisz jak ździebełko, może jak ptak będziesz latał?

Skoro sen twój przykry, napij się wina, a rozkosznie śnić będziesz; a skoro wina nie masz, spróbój łykać kamienie, może sen twój przejdzie w nieświadomość?

Z nieświadomości urodziłeś się, w nieświadomość śmierć cię przenosi.

Ażaliż istotnie nic w nas boskiego? I czy wola niczem jest bez czynu?

Oto wytężam wszystkie siły mej duszy, wysyłając rozkaz wejrzeniem oka mego; wola potężniejszą jest w sobie, niźli opór setek tysięcy.

Prawdziwie, chcę, jako Bóg chce, a jednak wszystko stoi i porusza się tak, jak przedtem stało i poruszało się; wola moja jest jako wulkan, który nie wybuchnął.

Jedno poruszenie palca mego silniejszem jest, aniżeli ogrom woli mojej; maszyną jestem, nie zaś Bogiem.

To, czego pragnę, z woli mej nie powstanie; ani poznanie nie zrodzi się z duszy łaknącej, ani miłości drugiej duszy nie przysporzy sobie dusza tęskniąca.

Czyń i krzątaj się, mrówko nędzna, albowiem wola twoja nie jest, jako wola Boga tworzącego.

Potęgą oddecha pierś moja, siła krąży w mych żyłach; czego pragnę, to osiągnę, czynem pobiję rzecz wszelaką woli mojej.

Z mózgu mego nie wyskoczy Pallada zbrojna; ale czynem mym wskrzeszę ów twór boski.

Myśl ma nie podźwignie człowieczeństwa z bagna ku niebiosom; ale czynem mym osuszę bagno, a niebiosa pochylę ku ziemi.

Przyroda, co nie słucha rozkazu wejrzenia mego, z czynu dłoni mojej formuje się, jako glina powolna; czynem dłoni spędzę góry, jako baranów trzodę, wypełnię przepaści lub na nich góry utwierdzę; czynem dłoni nagnę narodów dolę.

Niechaj bogowie wstrząsają niebiosa rzutem pukli swoich; niechaj wolą swą poruszają światy, a błyskawicą niszczą lub wskrzeszają twory; ja człowiek, na ziemi potęgę sprawuję, albowiem wola tkwi we wnętrzu mojem, a czyn dzierżę w dłoni.

*Alfred Nossig.*

imienin. Zestawienie tych i podobnych im faktów dowodzi, że agitacya na korzyść księcia, jeżeli istnieje, niema bynajmniej charakteru przeciw-rosyjskiego, jak niema go rozdanie wojskom rumelijskim chorągwi bułgarskich z cyframi księcia Aleksandra. Jeżeli bowiem miano tu na celu jakąś demonstracyę, to tylko taką, że chciano uroczyście stwierdzić połączenie dwóch krajów.

W parlamencie angielskim Parnell wniósł bill w sprawie irlandzkiej, świadczący, że przywódca homerulerów zmienia znowu taktykę i stara się skorzystać z okoliczności. Żądania projektu są dosyć skromne, domaga się on: zrównania komorników z fermerami, nowego oszacowania czynszów przez sądy agrarne i wstrzymania eksmisyi dzierżawców, jeżeli ci uiszczą $^3/_4$ czynszu: Dwa te ostatnie żądania opierają się na fakcie, stwierdzonym przez rząd i prasę angielską — obniżania się cen ziemi. Odpowiednio do tego Parnell wnosi, ażeby wogóle czynsze zmniejszone zostały o 25%. Bill przyjęty został w pierwszem czytaniu, nie przesądza to jednak wcale sprawy ostatecznego uchwalenia, owszem, nie ulega prawie wątpliwości, że Izba gmin przy obecnym swym składzie odrzuci go, chociaż niektórzy zachowawcy, a nawet członkowie rządu, jak np. lord Churchill nie odmawiają mu poparcia, tylko pod warunkiem pewnych zmian. Homerulerowie zresztą nie liczą na przyjęcie bilu, spodziewają się oni tylko wytargować coś przy sposobności.

Z Wiednia donoszą o zachwianiu stanowiska dzisiejszego gabinetu, wiadomości te jednak są bardzo mętne, wyciągnąć z nich można tylko tyle, że przyczyną upadku ministeryum byłaby jego polityka zewnętrzna, przeciw której obecnie występują i madziarowie, co, ze względu na zbliżający się termin ugody z Węgrami, nie jest oczywiście bez znaczenia.

Posłem francuskim w Berlinie mianowany został p. Herbette, przyjaciel osobisty Freycineta i wyższy urzędnik w ministeryum spraw zewnętrznych. Stanowisko przedstawiciela Rzeczypospolitej w Berlinie jest bardzo drażliwem, wskutek czego obsadzenie jego dokonywanem być musi bardzo ostrożnie. Francya przez długi dosyć przeciąg czasu nie mianowała posła, ponieważ wybór odpowiedniej osobistości był trudnym. Obecnie znalazł się kandydat właściwy, nie należy jednak nominacyi jego uważać jako zapowiedzi poprawy stosunków dosyć naprężonych w czasach ostatnich.

W okręgu bydgoskim wybrany został kandydat popierany przez rząd pruski; polak p. Komierowski otrzymał znacznie mniej głosów. Od początku wiadomo było, że polski poseł nie utrzyma się, po pierwszem głosowaniu postępowcy proponowali polakom ugodę, odrzucono ją jednak „w imię zasady,“ chociaż stokroć lepiej było poprzeć kandydata opozycyi, aniżeli uporem swym przyczynić się do zwycięstwa rządu.

## BADANIA NAUKOWE.

### POSTĘPY HYPNOTYZMU.

Żadne może z zagadnień dzisiejszej psychologii doświadczalnej nie zaprząta tylu umysłów, nie zajmuje tak wydatnego stanowiska, jak badanie hypnotyzmu i pokrewnych jemu objawów. Katalogi księgarzy zagranicznych przepełnione są nagłówkami dzieł, przedmiotowi temu poświęconych; posiedzenia założonego niedawno w Paryżu „Towarzystwa psychologii fizyologicznej“ wyłącznie prawie schodzą na odczytywaniu i rozbiorze sprawozdań hypnotyzerów, „poddawaczy“ myśli itp. Fakty odnośne nietylko zdobyły już sobie względy uczonych, ale, we Francyi, zdołały nawet podzielić świat naukowy na dwa przeciwne, niemal wrogie obozy: podczas gdy w Paryżu Charcot i jego szkoła odróżniają w hypnotyzmie trzy główne okresy (letargiczny, kataleptyczny i sonambuliczny), uczeni i lekarze w Nancy, z fizyologiem Beaunis na czele, głosują znów za innym porządkiem tych zjawisk. Jakkolwiek badania naukowe coraz bardziej odbierają hypnotyzmowi jego tajemniczy charakter, jakkolwiek niektórzy z uczonych starają się zbliżyć jego objawy do zjawisk snu zwyczajnego (Delboeuf), jakkolwiek przeto żądna wrażeń i „cudami“ przez dziennikarskich lub innych szarlatanów karmiona publiczność może z mniejszem już zajęciem śledzi bieg sprawy, to jednak ludzie rozumni i ludzie uczeni teraz właśnie najpilniejszą na rzecz tę zwrócili uwagę: ci, którym nie tyle sława augurów, ile dobro bliźnich leży na sercu, teraz właśnie, po jakiem takiem zbadaniu zjawiska i poznaniu niektórych z jego praw przyrodzonych, widzą w niem środek zmniejszenia ludzkich cierpień i powiększenia doczesnej szczęśliwości. Lekarze chorób nerwowych w zastosowaniu hypnotyzmu do swoich pacyentów znaleźli dzielnego sprzymierzeńca, z którego usług przyszłość jeszcze lepiej, jeszcze szerzej korzystać im zapewne pozwoli. Obok tego tu i owdzie zwrócono już uwagę na to, jak wielkie znaczenie mógłby mieć hypnotyzm w sprawie wychowania. Podczas więc, gdy jedni ze zgrozą przewidują tu nadużycia samolubnych lub fanatyzmem zaślepionych pedagogów, inni znów, wierząc w przewagę lepszych popędów ludzkich, śmiało zalecają hypnotyzm, jako środek wychowawczy. W kształceniu i poprawie zepsutego lub chorobliwego charakteru dzieci może on niepoślednie oddać usługi. Nadewszystkie zaś osady poprawcze (Studzieniec) powinnyby były stać się polem odnośnych prób i zastosowań Wobec coraz bardziej utrwalającego się w nauce poglądu, który zbrodniczość usposobień stara się związać ściśle z niemocą układu nerwowego, wyniki owych zastosowań niewątpliwie okażą się dodatnimi.

Jeżeli zjawiska zwykłego hypnotyzmu mniej już dziś zawierają w sobie cudowności, to natomiast ciekawość tłumów silną znajdzie podnietę w nowych i o wiele dziwniejszych jego objawach, co do których nauka nic stanowczego orzec jeszcze nie może. Chcemy to powiedzieć o tak zwanem „poddawaniu myślowem z odległości“ (suggestion mentale à distance). Obecny stan tej sprawy jest taki, że idzie tu przedewszystkiem o zgromadzenie dostatecznej liczby wiarogodnych i dokładnie opisanych faktów. Cechy takiej ścisłaści naukowej i wiarogodności posiadają właśnie dwa sprawozdania, przesłane Towarzystwu psychologii fizyologicznej przez pp. Ochorowicza i Piotra Janet.

P. Ochorowicz, który przedmiotowi temu poświęci obszerniejszą, mającą się niebawem ukazać pracę naukową, zaznajomił Towarzystwo z małą tylko częścią licznych, dokonanych przez siebie doświadczeń. Zwraca on przedewszystkiem uwagę na to, jak łatwo jest w doświadczeniach podobnych stać się ofiarą mimowolnego lub rozmyślnej szarlatanery „magnetyzera“ albo „medium.“ Wistocie, zgadywanie myśli „poddawacza“ może być bardzo często wynikiem: albo przypadku, albo szczególnej domyślności pacyenta, albo mimowolnego podsunięcia myśli słowami, albo bezwiednej postawy odruchowej magnetyzera, albo poddawania *mięśniowego*, albo nadczułości powonienia, dotyku lub słuchu w „uśpionym,“ albo niezwykłej jego pamięci, albo w końcu przypadkowego skojarzenia się pewnych stanów duchowych w pacyencie i w operatorze. To też całkiem słusznie p. Ochorowicz odmawia wartości naukowej tym wszystkim doświadczeniom, dotyczącym poddawania myślowego, w których 1) liczba prób nieudanych nie jest wykazaną na równi z liczbą wypadków pomyślnych; 2) przedmioty zamyślone wybrano dopiero w chwili wykonywania doświadczeń; 3) rozmawiano niepotrzebnie wobec pacyenta, mając w pamięci przedmiot zamyślony; 4) ma się do czynienia z osobnikiem już odpowiednio „wykształconym,“ tj. przyzwyczajonym do pewnego *porządku* prób niejednokrotnie powtarzanych itp. Po wyliczeniu wszystkich (10) wypadków, które, zdaniem jego, podkopywać mogą wiarogodność doświadczeń, przechodzi p. Ochorowicz naprzód do klasyfikacyi objawów myślowego poddawania, potem opisuje niektóre jego warunki fizyologiczne, w końcu zaś przytacza parę dokonanych przez siebie doświadczeń.

Istnienie zjawiska, zdaniem eksperymentatora, nie podlega wątpliwości. Co więcej, posiada ono pewną podstawę fizyczną i przedstawia liczne stopniowania (degrés d'évolution). Poddawanie myślowe z odległości dotyczyć może: chorób, bólu fizycznego, wrażeń przedmiotowych, uczuć, wyobrażeń i aktów woli. Rozwój (évolution) tej sprawy rozpoczyna się zwykle od jakiejś czynności bliskiej, namacalnej i dość pospolitej, kończy się zaś na myślowem przesyłaniu rozkazów ze znacznej odległości. Ostatni wypadek, jakkolwiek rzadki, stwierdzono w szeregu doświadczeń w Hawrze, w których, oprócz naszego ziomka, brali udział pp. Gibert, Piotr Janet, F. Myers, A. Myers i Marillier. Poznajmy naprzód doświadczenia p. Ochorowicza, którychprzedmiotem była panna M., osoba 27-letnia, dobrze zbudowana, mająca wszelkie pozory zdrowia, lecz oddawna podległa histero-epilepsyi (zdradzającej silne wpływy dziedziczności). Nie będziemy zresztą powtarzali tutaj zbyt specyalnych oznak umysłowego i cielesnego stanu chorej; natomiast przytoczymy dosłownie opisy paru wykonanych przy jej udziale doświadczeń.

„Dnia 2 grudnia (1885): Chora jak zwykle spoczywa na kanapie w pokoju nawpół leżącej. Nikt nie spodziewa się jakichkolwiekbądź prób lub doświadczeń. Zapisuję w dalszym ciągu me spostrzeżenia; pochyliwszy głowę, zachowuję się jaknajspokojniej, poruszając tylko prawą ręką, która udaje pisanie. Jestem oddalony o cztery metry od chorej i znajduję się po za granicami jej pola wzrokowego; ma ona zresztą oczy zamknięte i śpi, pogrążona w sonambulizmie bez myśli i ruchu (stan *bezmyślności paralitycznej — aidéie paralitique*) itd.

*Doświadczenie pierwsze*:

| | |
|---|---|
| *Podnieś prawe ramię!*Ześrodkowuję myśl na prawem ramieniu pacyentki, jak gdyby było mojem własnem; wyobrażam sobie kilkakrotnie jej ruch, pragnąc jednocześnie zmusić ją siłą wewnętrznie wymawianego rozkazu; patrzę na nią przez palce ręki lewej, na której opiera się moja głowa. | *1 minuta*: zupełny brak działania. *2 min.* poruszenie (agitation) prawego ramienia. *3 min.* poruszenie wzmaga się; chora marszczy brwi i *wznosi prawą rękę*, która po kilku sekundach opada napowrót. |

*Doświadczenie drugie*:

| | |
|---|---|
| *Wstań i przyjdź do mnie!* To samo zachowanie się z mojej strony. | *1 min.* chora marszczy brwi i porusza się. *2 min.* Wstaje powoli i z trudnością i *podchodzi do mnie* z wyciągniętem ramieniem; oddech ma przyspieszony; zmarszczenie brwi trwa ciągle. Odprowadzam ją na miejsce, nie mówiąc nic. |

Inne doświadczenia były bardziej złożonej; jakkolwiek nie tak pomyślnym kończyły się wynikiem, niemniej wszakże mogą wywołać zdziwienie. Jeszcze bardziej niezwykłym skutkiem uwieńczone zostały próby p. Piotra Janet'a dokonywane przy pomocy p. Gibert'a, i niekiedy w obecności kilku świadków. Zdanie o nich sprawy odkładamy do przyszłego numeru. Tutaj zaznaczymy tylko uogólnienie naukowe, do jakiego doszedł p. Ochorowicz po dokonaniu kilkudziesięciu doświadczeń, tak ze wspomnianą wyżej pacyentką, jak z trzema innemi osobami. Sądzi on, iż dzisiaj już dadzą się oznaczyć *fizyologiczne warunki, w których możliwem jest owo przesyłanie rozkazów myślowych* (transmission psychique): możliwem jest ono tylko w stanie pośrednim pomiędzy snem bezwyobrażeniowym (aideicznym) i rodzącym się *monoideizmem* (panowanie jednego wyobrażenia).

*J. K. Potocki.*

---

## Z DZIEJÓW REFORMACYI.

Ks. Bukowski Julian: *Dzieje reformacyi w Polsce od wejścia jej do Polski aż do jej upadku*, tom II, Kraków 1886. str. 600.

W książce tej, zakrojonej na olbrzymie rozmiary, ukończył ks. Bukowski epokę, rzec można, najważniejszą w dziejach naszej reformacyi, obejmującą pierwsze dziesięciolecie panowania Zygmunta Augusta (do sejmu 1558/9 r. włącznie), kiedy to herezya z roli biernej i prześladowanej wzmogła się do tego stopnia, że objęła cały naród, opanowała sejmy, króla, stała się potęgą pierwszorzędnego znaczenia. Zanim wielka głowa „papisty i registy“ — jak się sam nazywał Hozyusz, łączący w sobie siłę lwa ze śliskością węża — zada jej cios zabójczy przez przyjęcie na sejmie w 1564 r. w Parczewie wyroków soboru trydenckiego, przypatrzmy się chwili jej najwyższego rozkwitu.

Nie zatrzymujemy się nad oceną autora tych dziejów, czerpiącego swe najszczegółowsze wiadomości bez głębszej krytyki ze źródeł archiwalnych, panującego nad takimi zbiorami jak „Acta actorum“ i „Corpus reformatorum“ itp., ale nie możemy przemilczeć zasadniczych jego błędów. Na pierwszym planie występuje tendencyjność ultramontańska, daleka od polemicznej zaciekłości, owszem spokojna, uczona, przebrana w togę powagi, a krok za krokiem wykazująca, że każdy objaw reformacyi jest „zarazą,“ „herezyą,“ „gwałtem“ itp. Ks. Bukowski tak daleko posuwa swą prawowierność, że np. tyranię nuncyusza papieskiego Lipomana, który samemu Hozyuszowi wydawał się zanadto „bezwzględnym,“ wychwala i broni jak może. Układ dzieła chronologiczny i niemetodyczność sprawiają, że niektóre epizody — np. sprawa Orzechowskiego — są pokawałkowane, inne zaś giną w natłoku szczegółów, nieraz błahych, obojętnych, albo nużących czytelnika. Jeżeli dodamy styl zaprawiony na pisarzach klasycznych, ale rozwlekły i ze składnią łacińską, wlokący się jak ogon komety — będziemy mieli ogólne wyobrażenie o rodzaju i wartości dzieła ks. B. Lecz historyk ogledny może z tej bogatej kopalni faktów niejeden granitowy wydobyć kamień do budowy dziejów burzliwej epoki, która przeobraziła całe religijno-obyczajowe życie XVI wieku.

Reformacya, nie zapuściwszy głęboko swych korzeni w kraju samowoli, w czyrynach szlachty, chętnie wyzwalającej się z pod wszelkiego prawa i władzy, skoro tylko poczuła grunt pod nogami, zmierzyła się oko w oko ze strzaskaną kościoła katolickiego. Ówczesne duchowieństwo polskie przedstawiało smutny widok. Klasycznem świadectwem jego moralnego upadku jest owa słynna „instrukcya“ kapituły krakowskiej na synod z 1551 r., która całą nędzę wszech biskupów z szlachetną odsłoniła śmiałością. Obejrzmy bliżej ten ciekawy dokument. Dzieli on się na dwie części: ogólną i szczególną. W ogólnej, kapituła, przyznawszy w uroczystych wyrazach, że „gniew boży przyszedł na kościół i sługi jego wskutek własnych grzechów duchowieństwa,“ największą winę składa na samychże biskupów, którzy „niepomni na swe obowiązki i odpowiedzialność, jaką zaciągają przed Bogiem i ludźmi,“ nietylko sami rozwiąźle, zbytkom oddane życie prowadzą (dissolutam vitam agunt — parantes mensas Luculli etc.), ale nadto, ponieważ są nieuczeni i w piśmie św. nieumiejętni, łatwo więc „dają się obałamucać heretykom, których protegują, bronią i błędy ich nawet najgorsze, najzuchwalsze powtarzają“ (aluzya głównie do biskupa Drohojewskiego). Dalszem złem są „dwory biskupów, przepełnione od ludzi świeckich, pijaków, rozpustnych, niepowściągliwych, komedyantów i błaznów, których chętniej niekiedy słuchają biskupi, jak słowa bożego.“ Następnem złem i mającem najgorsze skutki w kościele jest nepotyzm biskupów, którzy krewnym, przyjaciołom i sługom swoim nietylko różne posady po dobrach swoich, ale i godności duchowne nadają, dla tychże skupują dobra i pieniędzmi kościelnemi ich bogacą, a którzy potem wzmógłszy się i utywszy na chlebie duchownym, brykają (recalcitrant) i największych zgorszeń, a nawet zbrodni się dopuszczają, jak tego przykłady na krewnych biskupów widzieć się dają.“

Po ogólnej następuje część szczegółowa, w której wszystkich prawie najznaczniejszych ówczesnych biskupów w ciemnych bardzo kolorach odmalowano. Po nich następują opaci, którzy „zagarnąwszy wszystkie dobra klasztorne pod siebie, zupełnie o klasztor i zakonników nie dbają, tychże uciskają, ciemiężą, prawie nie za ludzi mają, sami zaś w zbytkach i rozpuście żyjąc, otaczają się osobami świeckiemi, którym dobra i dochody klasztorne powierzają i razem z nimi marnotrawią.“ Że reformacya wgryzła się głęboko w samże episkopat polski, że zdołała się z nim sprzymierzyć i wspólnikiem go niejako swoim uczynić, jest faktem, który jak z jednej strony tłomaczy nam częściowe bankructwo episkopatu, tak z drugiej strony świadczy o przejęciu się duchowieństwa nowemi ideami, które nie kazały mu uważać reformatora za heretyka, ale raczej za człowieka oświeconego, starającego się niejedną rzecz w kościele złą lub fałszywą usunąć lub poprawić. Był to skutek ogólnego „oświecczenia“ kleru pod wpływem humanitarnego wychowania, a bardziej jeszcze publicznego stanowiska biskupów, będących jak wiadomo senatorami państwa i pierwszymi doradcami korony.

Poznajmy kilku najwybitniejszych. Na czele episkopatu stał, jak wiadomo, prymas Dzierzgowski. Urosłszy łaską Bony, trzymał się fartucha, do którego przykuł go interes własny i rodzinny. W polityce był miernotą. Z życia prywatnego oskarża go kapituła o „lenistwo i sybarytyzm.“ Obok niego najbliżej spraw publicznych, tak kościelnych jak politycznych, stał biskup krakowski Zebrzydowski, „który z przerażającem bluźnierstwem mówił o trzech zwodzicielach: Mojżeszu, Mahomecie i Chrystusie,“ który nie wierzył w nieśmiertelność duszy, w bóstwo i cudowne narodzenie Chrystusa, a św. Mateusza przez pogardę „prostym Maćkiem“ nazywał za to, że o takich rzeczach pisał. Bona go nie lubiła i raz w złości powiedzieć miała do niego: „ty, ty, ktoryś biskupstwo kupił,“ na co Zebrzydowski odparł: „iż przedajne było.“ Na reformacyę zapatrywał się ze stanowiska politycznego. Działalność jego w tym kierunku „budziła tylko postrach, nie lecząc złego.“ Gorączkową czynność jego pod tym względem można by porównać do wielkiego grzmotu i huku, który na jednem miejscu rozproszywszy chmury, pozwala im się zbierać na innem i z tembardziej niszczącą siłą wylewać. Z kolei następuje Izbieński, biskup poznański. Instrukcya wyżej wspomniana oskarża go o „chciwość i drapieztwo, o zabieranie spadków i jakoby objadanie się testamentami“ (fertur testamenta vorare). Był to, jak przyznaje sam ks. Bukowski, człowiek nadzwyczaj chciwy na pieniądze, których ciągle potrzebował, a dla ich pozyskania nie cofał się przed najwstrętniejszemi czynnościami. Po stronie heretyków stali Drohojewski, Uchański i Słończewski. Pierwszy, biskup kujawski, „zatwardziały heretyk,“ domagający się kościoła narodowego, niezależnego od papieża — drugi, arcybiskup gnieźnieński, dążący do reformy kościoła, opartej na szerokiej podstawie demokratycznej, gdzieby „księża wychodzili z wyborów ludu, biskupi z wyboru duchowieństwa“ itd. Trzeci z nich Słończewski, biskup kamieniecki, występujący ostro na kazaniach przeciwko papieżowi, przeciw czci świętych, przeciw wierze w czyściec itp., żył jak obaj poprzedni biskupi w serdecznej przyjaźni z Modrzewskim, Orzechowskim i innymi „heretykami,“ pod koniec życia jednak wrócił na łono kościoła katolickiego.

Osią, wokoło której obracała się reformacya na początku panowania Zygmunta Augusta, była sprawa Orzechowskiego. Głośny ten pisarz, burzliwy reformator rządu i duchowieństwa, dążący do zjednoczenia rusinów z kościołem zachodnim (do czego jako rusin z matki czuł w sobie powołanie) i żądający porównania ich w prawach i przywilejach z katolikami, wystąpił z całą namiętnością zapalonej i niepohamowanej niczem duszy przeciw „tyranii celibatu,“ która „księży wtrąca w przepaść występku,“ a postępując według tej zasady, wziął ślub publiczny (z Zaparcianką), chociaż nie zrzucił sukni duchownej. Przed nim ożenił się Walenty, pleban z Chrzczonowa i Krowicki. Proces tym śmiałym wywołany czynem i wytoczenie całej sprawy na forum sejmowe, dało hasło do zaciekłej piętnastoletniej wojny szlachty z duchowieństwem, najprzód o zniesienie sądów duchownych, zwłaszcza w rzeczach „herezyi“ dopuszczających się wielkich nadużyć, a potem o uszczuplenie władzy, której butna i zaufana w swoje siły szlachta nie chciała z nikim dzielić. Popularne w Polsce, pewne zawsze swojego wpływu na umysły, odurzające prawie hasło wolności i obrony swobód szlacheckich przeciwko tyranii duchowieństwa, porywało za sobą wielu dobrych nawet skądinąd katolików w szeregi różnowierców. Król Zygmunt August, „w rzeczach wiary bardzo liberalny, trzymał się polityki włoskiej: raczej usypiać niż drażnić wzburzone żywioły. Dla reformacyi w Polsce był miękki i niezdecydowany charakter króla na razie korzystny, ale właśnie ta okoliczność, że król nie używał gwałtownych środków, była jedną z przyczyn, że idee reformacyi po wierzchu tylko przesunęły się w Polsce. Wśród tych wzburzonych żywiołów politycznych, społecznych i religijnych musiał sternik zręcznie lawirować nawą państwową, z czem znów chwiejność i słabość Augusta aż nadto się zgadzała. Tymczasem szły te fale nowego porządku coraz to wyżej. Protestanci, poczuwszy, że panują na sejmikach i sejmach — o oporze katolików, jakiego jeszcze ślady w izbie poselskiej z 1556/7 spotykamy, nie słychać już na sejmie 1558/9 — występują z całą energią i śmiałością przeciwko duchowieństwu, żądając wykluczenia biskupów od wyboru króla (w celu zdyskredytowania ich stanowiska w senacie), nie chcąc w żadnych sprawach uznawać nad

sobą jurysdykcyi duchownej. Wyrazem tej potęgi protestantów było zachowanie się Rafała Leszczyńskiego, który w kościele, przy uroczystem rozpoczęciu sejmu, kiedy król z senatorami podczas podniesienia upadł na kolana, nakrył czapką głowę, za co ostentacyjnie wybrany został marszałkiem sejmowym. Mowa jego, na tem sejmie wypowiedziana, przechodzi wszystko, cokolwiek dotąd na tem miejscu przeciw duchowieństwu wyrzeczono. Wskazując palcem na biskupów, wołał on: „Oto siedzą tutaj w owczem odzieniu, gdy wewnątrz są wilkami drapieżnymi, którzy nas wolnych i wiernych poddanych twoich, jako zdrajców chcą potępić i na rzeź wydać!“

Na całej sesyi siedzieli biskupi, jakby na ławie oskarżonych. Inny „junak,“ Hieronim Ossoliński, ekskomunikowany za różne „antikatolickie sprawki,“ wszedł na przekór w sam dzień Wniebowstąpienia Pańskiego (26 maja 1552 r.) do kościoła na sumę, zasiadł na chórze i chociaż go sufragan, starosta i wielu innych wzywało i prosiło, aby nabożeństwa nie tamował — wobec wyklętego bowiem nie może się odbywać nabożeństwo — on nie ruszył się z miejsca i siedział, aż wszyscy razem z księdzem z kościoła nie wyszli, gdyż „nie było żadnego środka, aby zuchwalca wyprowadzić.“ Innowiercy dopuszczali się nieraz dziecinnych psot katolikom. W bazylice krakowskiej — opowiada ks. Bukowski — gdy kapłani w chórze śpiewali, rozlano po kościele jakiś płyn „okropnie śmierdzący,“ tak że księża znieść odoru nie mogąc, rozejść się musieli. Z pomiędzy wszystkich odstępców najzjadliwszymi byli zawsze sami księża „apostaci,“ „którzy szkalowali kościół, rzucali się na papieża, napadali na hierarchię, urągając zuchwale dogmatom i ceremoniom kościelnym.“ Prąd reformacyi nurtował pod nawą kościelną, gościł na dworze królewskim i groził już „demolowaniem ognisk rodzinnych,“ przeszkód bowiem prawnych i zewnętrznych dla nich prawie nie było; a jeżeli były jakie, jedne z nich uważali oni za pajęczynę, którą łatwo było przerwać, inne, silniejsze, spodziewali się z biegiem czasu usunąć. Wewnętrznie ożywiał ich wielki zapał dla sprawy, lecz tylko w ujemnym kierunku, tj. w kierunku podkopania władzy kościoła katolickiego, w tem zaś, coby w miejscu jego postawić i zaprowadzić, zgodzić się nie mogli — i tu zaczynają się między nimi rozterki. Oprócz trzech sekt głównych: luteranów, kalwinów i braci czeskich, które przyszły z zagranicy i u nas pewien poważniejszy zastęp zwolenników znalazły, wciskało się jeszcze do Polski mnóstwo skądinąd wygnanych awanturników, odszczepieńców lub ideologów, których z dniem każdym coraz nowszych wyrzucała z łona swego reformacya. W końcu przybiera ona coraz radykalniejszy charakter i grozi rewolucyą religijną, skoro przybywają do Polski socynianie, antitrynitaryusze, albo nowi aryanie, zaprzeczający bóstwa Chrystusa, a wypowiadający wojnę wszystkim dotychczasowym sektom. Rozpoczynają się kłótnie, spory, wyklinania wzajemne, które znoszące zupełnie wewnętrzną jedność w obozie różnowierców, równocześnie wstręt pewien ku nim w społeczeństwie zaszczepiają, zwłaszcza „gdy słowo i działanie kościoła katolickiego serca i umysły oczyściwszy, ostatni w nich tryumf prawdzie katolickiej zgotowały“ (ks. Bukowski ma tu na myśli krwawą restauracyę katolicyzmu, przeprowadzoną przez nuncyusza Lipomana i kardynała Hozyusza). Lecz zanim to nastąpiło, reformacya obchodziła niemałe swe tryumfy w Polsce. Duchowieństwo było poniżone i wzgardzone, a w łonie jego pojawiło się zupełne ubezwładnienie i apatya.

Pod koniec pierwszego dziesięciolecia rządów Zygmunta Augusta występuje Łaski, mąż wielkiego rozumu i powagi, który objąwszy ster ruchu reformacyjnego w Polsce, stara się skupić i zjednoczyć jego zwolenników około swej doktryny (była ona, jak wiadomo, zbliżoną do kalwińskiej), aby ratować protestantyzm od coraz groźniej objawiającego się w nim rozkładu, a tem samem rozwinąć w nim większą sprężystość i siłę wobec katolicyzmu, który mimo chwilowych strat i ran otrzymanych, niespożyte przecież przedstawiał siły i zasoby. Starał on się protestantów polskich zjednoczyć i zorganizować, wlać w nich jedną myśl wspólną, usunąć rozterki, a natchnąć ich duchem ofiary i poświęcenia, którego tak bardzo potrzebowali, mimo chwilowego swego entuzyazmu dla sprawy. W tym celu przeniósł się do Pińczowa, gdzie było ognisko protestanckiego ruchu w Polsce — i tu rozpoczął gorącą swą działalność, która jednakże nie zaprowadziła do celu zjednoczenia zwaśnionych. Hozyusz pisał o nim z przekąsem, że „papieża gra rolę — w Pińczowie.“ „Tu on kapłan apostata, jak się wyraża ks. Bukowski, wydał córkę swą za podobnego kapłana-apostatę (ks. Lubomirskiego), aktem tem jakby protegując apostazyę.“ W maju 1559 r. przybył do Pińczowa ze Siedmiogrodu Stankar. Zjawienie się jego zakłóciło znów w wysokim stopniu umysły, zwłaszcza że gwałtowność i wyłączność, z jaką szerzył swoją naukę, czyniła go podobnym jakby do burzy przeciągającej, która gdzie się zjawi, zniszczenie i zamęt zostawia. Przybywają też do Polski, jak do schroniska Lelius Socyn, Blandrata, i wielu głośnych, coraz skrajniejszych reformatorów, ale nie mogą tu miejsca zagrzać, zarysowują się bowiem coraz to gwałtowniejsze różnice między sektami, mnożącemi się jak grzyby po deszczu, zwłaszcza między wyznaniem braci czeskich, szeroko w Polsce rozgałęzionych a odznaczających się ścisłością w zasadach i wstrzemięźliwością w życiu a kalwinami mało-polskimi, których cechowała obok wolnomyślności pewna zmysłowość i świeckość.

W łonie tych ostatnich, dążących do owładnienia całem państwem, występują już na jaw kryjące się pierwiastki społeczno-politycznego przewrotu. To rozbicie obozu protestantów na części, ta niezgoda i ten skrajny, jak na owe czasy radykalizm, wobec zwartej falangi kościoła, ściśniającego coraz to silniej więzy katolicyzmu, zgotują niebawem grób reformacyi.

*Z.*

## HISTORYA.

Pawiński Adolf. Źródła dziejowe t. XIV i XV. *Polska XVI wieku pod względem geograficzno statystycznym. Małopolska.* Warszawa 1886. str. 202, 589, C. i 56.

Niestrudzony na polu badań historycznych prof. Pawiński, ogłosił znowu dwa tomy materyałów do geografii i statystyki rzeczypospolitej w w. XVI. Są to regestra poborowe, dotyczące Małopolski, wykazujące wszystkie parafie, nomenklatury miast i wsi, oraz nazwiska szlachty z ilością opłacanego podatku. Nie ograniczając się na ogłoszeniu materyału *in crudo*, umieścił szanowny profesor na czele rozprawę, w której podaje: pracowicie obliczoną powierzchnię powiatów i województw małopolskich, liczbę parafij, miast i wsi, zaludnienie, stosunki własności ziemskiej itp. Mnóstwo autor na różne sprawy rzucił poglądów bystrych i trafnych. Słusznie rozległość powiatów małopolskich tłomaczy małem skupieniem szlachty, większe zaludnienie Wielkopolski gatunkiem gleby; bystre czyni spostrzeżenia w materyi formacyi dóbr duchownych i posiadłości drobno-szlacheckich. „Żałować wielce wypada — powiada p. Pawiński — że dotychczas w literaturze naszej naukowej historycznej tak mało zwrócono uwagi na samą powierzchnię kraju, rodzaj gruntów, na całą florę, szczególniej na pasy leśne, na pasy klimatyczne i na wpływ ich na stosunki dziejowe. W dochodzeniu początku nazw miejscowości, w badaniach nad genezą społeczności polskiej i państwa polskiego nie zwrócono należycie uwagi na to, że najdawniejszych formacyj społeczno-politycznych szukać trzeba w pasach gruntów żyznych, urodzajnych, nadających się szczególniej do lekkiej uprawy. Z tego stanowiska roztrząsając dzieje, w myśl znanej teoryi Ricarda, trzebaby się zastanowić nad takimi powiatami w Małopolsce, jak proszowski, wiślicki i sandomierski z lewego brzegu Wisły i tam szukać owych zakończeń patronimicznych wsi na *ice*, jako najdawniejszych. Tam niewątpliwie była kolebka tej społeczności, która Małopolskę utworzyła.“

Myśl wypowiedziana w przytoczonym ustępie, w zastosowaniu do dziejów powszechnych uwieńczona rezultatami ważnymi, w naszej literaturze historycznej dopiero w badaniach geograficzno-statystycznych prof. Pawińskiego uwzględnienie znajduje szersze. Że wprowadzenie pierwiastku przyrodniczego do badań nad dziejami Polski korzyść przyniesie olbrzymią, wątpić o tem nie można. Obecnie wydawnictwa prof. Pawińskiego w tym właśnie idą kierunku i dlatego poważniejszy budzą interes, niż gromadzone bez wyboru z archiwów zagranicznych plotki dyplomatyczne, bez żadnego często znaczenia.

*Sm.*

# LITERATURA I SZTUKA.

## WIĄZANKI POETYCZNE.

Dr J. Długoborskiego *Poezye* (Kijów), Korczaka *Baśń* (Kraków), St. Rossowskiego *Poezye* (Lwów).

Świeżym utworom poetycznym, jeśli one w nagłówku nie poręczają swej wartości znanemi nazwiskami, dziś nikt nie wierzy. Czytelnik omija takie książki, krytyk — otwiera je z rozpaczą, przygotowany na nudy i daremną stratę czasu. Trudno opisać dokuczliwe uczucie, jakiego doznaje sprawozdawca, zmuszony rozpatrzeć uważnie tego rodzaju roboty: nieraz może wolałby on zjeść sito plew, niż przeczytać kilka tysięcy pustych i mdłych wierszy. Ten, co strugał owe wióry swego serca, nie ma nawet przybliżonego wyobrażenia o katuszy, na jaką skazał swych przymusowych czytelników i gdyby ów przymus był niezłomnym, stanowczo powiększyłby liczbę samobójstw. Naszczęście pozostawia on nieco swobody i możność uchylenia się od obowiązków zbyt ciężkich.

W ostatnich miesiącach nasza muza liryczna uwiła aż trzy wianki i złożyła je na ołtarzu poezyi. Pierwszy zawdzięczamy dr. J. Długoborskiemu. Jest to zbiorek krótszych i dłuższych, przeważnie miłosnych wylewów serca głębokości zwyczajnej. Autor umie rymować, nieraz zdobywa się na ładne wyrażenie lub obraz (Nemezys), ale jego *Poezye* są szaro-płową tkaniną nici powszednich, bez barwy, bez blasku, bez wzorzystości nawet takiej, jaką widzimy w poetycznych perkalikach czasopism. Autor nie posiada ani siły słowa, ani miękkości, posiada tylko chęć wyśpiewywania małych motywów małymi środkami. Oto np. moc jego „demona:“

Gdy robak zdechnie w trawie
Czy w chacie ojca trup,

Czem darzy los łaskawie —
Ja spijam łzy — mój łup!

„Do śpiącej“ tak poeta przemawia:

Ty śpisz — Aniele, lecz czy wiesz ty o tem?
Że dusza twoja nie — śpi nawet w nocy:
Bieży, *gdzie zechcesz* — i śpieszy z powrotem;
Ulegam i ja — twej duszy przemocy.

Najszczęśliwszy to dla autora wypadek, gdy w jego wierszach można odgadnąć sens, co nie zawsze się zdarza, zwłaszcza przy nastroju uroczystym. Uchwyćcie związek logiczny w tym szumie słów:

Młodości! tyś jest echem — wieczystych przestrzeni!
Pragnienie twe — myśl Bożą — kwiatem zórz rumieni,
Tyś iskrą woli nieba — rzuconą nam zdala, —
Przez ciebie—Znicz się wieczny—dla prawdy zapala!—

W przytoczeniach tych zachowaliśmy wiernie przestankowanie autora dla okazania, że dr Dł. i pod tym względem mocniej chroma, niż słynne z nadużywania kresek w swych listach kobiety. Oprócz liryk jest w zbiorku jedna gawęda i jeden poemat fantastyczny — wszystko *ejusdem farinae*.

Mocniejsze skrzydła ma p. Korczak, który chciał w *Baśni* spróbować orlego lotu, wznieść się:

Gdzie pioruny w chmurach wiszą,
Gdzie się myśli w tęczę wiążą,
Gdzie panuje Bóg nad ciszą,

„gdzie gwiazdy płoną—gdzie niknie świata sprzeczność — gdzie w miłości bóle toną“ i stamtąd spojrzeć

...na łez tonie,
Na ludzkości świata cienne,
Na dusz znoje, na słońc skronie,
Na pragnienia serc tajemne.

Autor dokonywa tego wzlotu śladem Goethego, Krasińskiego, Mickiewicza, zapomocą bohaterów fantastycznych: Kinrila, który przypomina Fausta, ducha Ireny, która przypomina Małgorzatę, Eloy, postaci zagadkowego charakteru, zapomocą szatana, dyabłów, dyabełków, aniołów, burz, piorunów itd. Ów Kinril, który uwiódł i porzucił Irenę, naprzód wątpi, a potem wyspowiadawszy szereg cieniów w grobach, odradza się i woła:

Fauście nienasycony, spójrz mi teraz w oczy!
Ty goniłeś za wiedzą, a ja za miłością —
Ja miłości wszechświata! — gardzę formułkami —
Bez serca ha! i mądrość też nie jest mądrością!

Pomiędzy Faustem a *Baśnią* zachodzi taka różnica, jaka między Goethem a p. Korczakiem: pierwszy był geniuszem, rozporządzał wielkimi środkami poetycznymi i wiedział jasno, co chciał w swym tworze wyrazić, drugi jest tylko umysłem gorącym, w świeżo myśli i uczucia mało zasobnym a nadewszystko mętnym. Po za tą najwyraźniejszą, często powtarzaną w poemacie uwagą, że ludzie „w złocie boga mają,“ że pieniądz stał się szatanem świata, trudno wybadać, o co Kinrilowi a więc i autorowi właściwie chodzi. Wydobywa on z siebie jakąś bezkształtną mgłę słów, rozdziera ją wykrzyknikami, ciągle objawia wielki rozmach, ciągle powietrzem nabija poetyczny moździerz, z którego strzela buntem ku niebu, ale te obłoki, grzmoty i pioruny ani nie zdradzają ręki Jowisza, ani nie objawiają błyskawicami prawd nowych. Słyszymy zaledwie zwykłą naszą sielską burzę, tak naszą, że nawet szatan tęskni do nieba, płacze i chce się pojednać z Bogiem. Zresztą jest to dopiero „część pierwsza,“ może dalej ujrzymy więcej siły i jasności.

Skromniej, lecz wdzięcznie nastroił swą lirę p. St. Rossowski. Jak bywają głosy rozległe i krzykliwe, ale puste, suche i sztywne, oraz inne — małej skali i słabe, ale dźwięczne i serdecznie brzmiące, tak bywają podobne talenty poetyczne. Tego ostatniego rodzaju śpiewakiem jest właśnie p. Rossowski. Posiada on głosik niewielki, milutki i giętki. Jego liryki nie wykraczają nigdy po za granicę uczuć spokojnych, nieoziębiających się i nierozgrzewających aż do lodu i waru, zawsze jednak tryskają mu z serca tęczowymi strumieniami. Posłuchajmy, jak on się smuci przyjemnie:

Chociaż cię miłość na złotych
Skrzydłach swych niosła
Byłaś zmęczona podróżą,
Siadłaś na osła.
Za cugle wiodłem go nakształt
Wiernego sługi,
Szedł jeden osioł pod tobą,
Przy tobie — drugi.

Albo jakże uroczym jest ten obrazek „Narcyza!“

Pierwszy dziś narcyz śnieżne kielichy
Wzniósł po nad grzędy;
Wysokie trawy spojrzeniem pychy
Szydzą z przybłędy.
Bo trzeba wiedzieć, że nawet sioła
Mają plotkarzy;
Ci już poznali z białego czoła
O czem on marzy.
Ci już poznali, dokąd zalata
Woń jego słodka:
Wabi go lilia, lilia bogata
Pszczółek pieszczotka.
Wieść tę im przyniósł jakiś motylek
Do usług skory,
Co korzystając z swobodnych chwilek
Wykrył amory
Więc szemrzą zielska: — „To miłość zdrożna,
Strzeżmy zasady!“
Słowik zaś duma, czyby nie można
Mieć stąd ballady...

Tym samym prawie wdziękiem oddychają inne liryki tego zbiorku. Rozpływa on się również w ustępach opisowych. Ot maleńki obrazek ze „Snu nocy letniej.“

Płynie nocka czarodziejska
Skromna jak dziewczyna;
Aby sukni wiatr nie rozwiał,
Księżycem ją spina.
Od zalotnych figlów stroniąc,
Wstydliwa, by łania
Mleczną drogą, jak wachlarzem
Oczy swe zasłania.

Ośm wierszy — jak ośm pereł, któremi muza poetyczna dumnie swą szyję ozdobić może i pokazać drowi Długoborskiemu, co dla niej jest strojem.

*A.*

## LITERATURA ANGIELSKA.

A. Edwin Arnold: **India Revisited.**

Autor po półrocznej podróży dokonał prawdziwej sztuki, dając barwny, obrazowy i wyczerpujący opis zwiedzonych przez siebie miejscowości; maluje on nieledwie piórem krajobrazy, oblewa je falami światła, opowiada wrażenia, a do tego dodaje charakterystyczne wypadki, oraz podania historyczne.

Jak sam tytuł wskazuje, Arnold zna Indye dobrze z podróży, odbytej przed dwudziestu laty, nadewszystko zaś ciekawem jest porównanie, czem były a czem są dzisiaj niektóre zwłaszcza miasta, dotknięte żywszym prądem cywilizacyi. Bombay np., które wówczas podobne było do obozowiska żołnierskiego, dziś przedstawia się jak miasto pałaców. Nawet część jego zamieszkiwana jedynie przez krajowców, nie zatracając swego właściwego charakteru, nabrała daleko większego ożywienia. Piękne ilustracye dopełniają tę ciekawą książkę, napisaną żywo, lekko, a jednak gruntownie.

Edward S. Morse: **Japanese Homes and their Suvroundings.**

Ośm pierwszych rozdziałów gruntownego i pysznie wydanego dzieła uważać można za właściwy wstęp do całości. Autor zanim przystępuje do opisu dzisiejszych domów japońskich, daje czytelnikowi obraz pałacu samego Mikado w dziesiątym wieku, zaczerpnięty ze starych ksiąg i opisów rytualnych. W owej epoce władca japoński musiał się zadawalniać prostą lepianką, w której drzwi i okna zastępowały zawieszone maty i opony, bez podłogi, bo tylko wokoło ścian obiegało drewniane wzniesienie, a na ziemi ubitej często pełzały gady a nawet jadowite węże.

W późniejszych czasach japończycy wszelkie ulepszenia swej pierwotnej architektury, sprzętów domowych, upiększeń itp. zapożyczyli z zagranicy, jak to uczynili z cywilizacyą, którą także przyswoili sobie. Wielu zajęć nauczyli się od blizkich swoich sąsiadów chińczyków. Budynki z kamienia są w Japonii rzadkością, prawdopodobnie z powodu częstych trzęsień ziemi, jednakże niektóre rezydencye daimisów bardzo wspaniałe. Świątynie odznaczają się raczej kształtem i ozdobnością niż rozmiarami.

Morse ze szczegółami i znajomością przedmiotu opisuje wszystkie sprzęty, znajdujące się w mieszkaniu średnio zamożnego japończyka oraz ich użytek, wtajemnicza więc tem samem czytelnika w zajęcia i sposób życia.

Henry Sidgwick: **Outlines of the History of Ethics.**

Ważna ta książka zawiera cztery rozdziały; pierwszy, wstępny, wykazuje stosunek etyki do innych nauk filozoficznych. Trzy inne zajmują się etyką starożytnych, chrześciańską średniowieczną i nowożytną a głównie jej teoriami angielskiemi.

Co do starożytnych, po wyczerpującem dziele Zeltera trudno było napisać coś nowego, jednakże Sidgwick potrafił stanąć na stanowisku niezależnem, a nawet różni się nieco od niemieckiego autora w poglądach na sofistów.

Etyka średniowieczna, tak ściśle połączona była z ówczesną metafizyką, a ta znów z teologią, że prawie niepodobieństwem jest wykazać jej właściwą dziedzinę i z tego powodu ten rozdział uważać można za najsłabszy.

W końcu autor zajmuje się obecnem stanowiskiem tej nauki w swoim kraju. Początek jej sam odnosi do Locke'a, nie wierzącego w pojęcia wrodzone. Burząc teorye Hobbes'a dowodził, że takich wrodzonych pojęć nie było, a dalszy rozwój etyki opierał się na zaprzeczeniu Hobbesowi częściowem i częstem przyjęciu jego twierdzeń. Autor wykazuje dalej stanowisko Shaftesburego i jego wpływ na Butlera, następnie zaś przechodzi do Benthama, Millów i współczesnych.

Joseph Anderson: **Scotland in Pagan times** — The Bronze and Stone Ages.

Autor zebrał razem w tem dziele odczyty archeologiczne, miane w ciągu lat ostatnich. Poprzedziły je o lat kilka badania o zabytkach celtyckich. Przechodzi on od czasów historycznych do przedhistorycznych, od rzeczy znanych do nieznanych. O ile jednak opisy czasów historycznych nic nie zostawiają do życzenia, o tyle tam, gdzie rozpoczynają się wieki bajeczne, wyobraźnia autora może być omylną i tu otwiera się pole do sprzecznych poglądów.

Algernon Charles Swinburne: **Miscellanies.**

Poeci obecni nie zaniedbują krytycznego pola. W tym nowym zbiorze zdań — właściwie mówiąc — dziennikarskich artykułów Swinburne'a, widzimy szeregi nazwisk dawnych i nowych, zagranicznych i angielskich, Chancer i Musset, Spencer i Ten-

nyson, Dryden i August Vacqurot oraz mnóstwo innych spotyka się pod piórem autora „Erebtiusza.“ Całość jest bardzo ciekawa, odznacza się bogactwem stylu, obrazów, porównań. Nie wszystkie zdania krytyka-poety podzielać można, chociaż sąd jego jest dość trzeźwy, tam przynajmniej, gdzie nie zaślepia go zbytnie uwielbienie, jak to ma miejsce z Wiktorem Hugo. Chociażby nawet zresztą sądy Swinburne'a były niesprawiedliwe, będą one jednak zawsze ciekawe, jako wyraz przekonań nieposolitego człowieka, ciekawe względnie do niego samego, jeśli nie do krytykowanych postaci.

Jest on łaskawy dla powieści, która cieszy się u niego wielkiem uznaniem, mówiąc np. o Karolinie Bronte, zaznacza, iż w obecnym czasie w Anglii powieść zajęła stanowisko, jakie miał dramat za czasów Shakespeara. Pożądanie i zaciekawienie ogólne w tę stronę kieruje talenty.

David Mac Ritchie: **Accountes of the Gypsien of India.**

Jest to zbiór wszystkich hipotez do poszukiwań i teoryi o pochodzeniu cyganów, jakie się dotąd pojawiły. Grelman dowodzi, iż dostali się oni do Europy w r. 1417, gdy tymczasem Bataillard odnosił to przybycie do czasów przedhistorycznych, według niego im to zawdzięczała Europa sposób użytkowania metali. najświeższe zaś badania wyprowadzają ich pochodzenie od hott'ów zamieszkujących Pendżab i jego okolice, z których odłamek miał w V wieku przejść do Europy. W każdym razie książka Mac Ritchie'a stanowi przyczynek do nierozjaśnionej ostatecznie historyi Romów.

Ralph Disraeli: **Lord Beaconsfield's Home letters with in 1830—31.** Lord Beaconsfield's Correspondence with his sister, 1832—1852.

Listy te, wydane przez brata słynnego męża stanu, rzucają światło na jego niepospolitą indywidualność i wykazują w nim przymioty zwykle wykluczające się wzajem. Pod powierzchownością światowca, usiłującego zwrócić uwagę strojem, sposobem zachowania się, kryła się nieugięta wola dojścia do zamierzonego celu. Wszystkie pozorne ekscentryczności miały cel głębszy wysunięcia się na widownię. Skoro zaś rzeczywiście zajął miejsce w politycznym świecie, ekscentryczności tych zaniechał. Mógł już wówczas zabłysnąć talentem na właściwem polu i nie potrzebował więcej uderzać w oczy powierzchownością.

Był zdania, iż nie należy gardzić drobnymi środkami powodzenia, że zdolność może i powinna się nimi posługiwać, bo świat składa się z ludzi, którym środki te łatwiej od innych trafią do przekonania. Przyszły mąż stanu znał czas swój i kraj, wybornie wiedział, czem na niego oddziaływać. Był poetą, ale u niego poezya nie wykluczała wcale praktyczności ani realnego zmysłu.

*W. M.*

## FEJLETON.

# LIBERUM VETO.

Naiwność w dobrym gatunku. — Statystyka zakonów w Krakowie. — Skutki ich wpływu. — Wnioski proste i krzywe. — Zawieszanie praw tabliczki mnożenia. — Co robimy z niepożądanym faktem. — Zdziwienia. — Śmierć Królikowskiego. — Praca w swojej chacie. — Przymioty starości. — Artysta. — Wysokie pojmowanie swej sztuki. — Bez spadkobierców.

W dobrym gatunku i naiwność coś warta, a taką właśnie okazał korespondent krakowski *Gazety polskiej*. Dostała mu się do rąk statystyka mnichów i mniszek „polskiego Rzymu,“ czy też „Aten.“ Wypada z niej, że dyecezya krakowska liczy w swej owczarni aż 897 sztuk tej rasy, a mianowicie 366 rodzaju męzkiego i 521 żeńskiego. Na sam „Rzym polski“ przypada 758 braci i sióstr. Dotąd korespondent jako sprawozdawca idzie drogą logiczną, ale kończy on rachunki następującym wnioskiem, który ślicznie by wyszedł z ust Żółkowskiego: *„zdawałoby się* tedy, że wszystko *powinno* być w porządku w tem mieście, gdzie tak liczne zastępy duchowieństwa tak sumiennie i skutecznie pełnią swoją powinność i gdzie lud ma tyle sposobności i chęci do praktyk religijnych... A jednak — są tu jakieś braki, bo „pobożność“ ludności krakowskiej nietylko nie idzie w parze, jak być *powinno* (przez wzgląd na niewinność przebaczcie czytelnicy autorowi jego stylistykę „powinnościową“), z moralnością, lecz owszem, *jak gdyby* zostaje wręcz w odwrotnym z nią stosunku.“ O... gwoździu prawowierności! Jakże ty jesteś mocny i tkwisz głęboko, kiedy cię nawet cyfry wyważyć nie mogą! Człowiek ze zdrowym rozsądkiem, któryby nawet nic nie słyszał o dowiedzionym przeczniku, że nigdzie klasztory nie podnoszą moralnego poziomu, wnioskowałby wprost, że one w Krakowie dobroczynnego wpływu nie wywierają. Ale taki wywód nie dla umysłów łaską wyższą pomazanych. Cztery działania arytmetyczne, prawidła logiki, prawa fizyczne i matematyczne obowiązują wszędzie i zawsze z wyjątkiem u nas, gdzie muszą się stosować do potrzeby. Dwa razy trzy jest sześć, ale czasem „wyższe względy“ wymagają od nas siedmiu i wtedy musi być siedem. Nic to nie znaczy, że „bardziej próżniaczej i mniej rzetelnej ludności, jak w Krakowie, znaleźć niełatwo,“ że „pijaństwo, a z niem nędza i upadek moralny rodzin tak tu są rozpowszechnione, jak może w żadnem z miast niewielkich,“ że ten polip rośnie pod skrzydłami 758 mnichów i mniszek i licznego szeregu duchowieństwa świeckiego — 3 razy 4 musi być 11, a gdy wypadnie 12 — jest zjawiskiem „dziwnem.“ Z tem, czego oczami widzieć, a ręką dotknąć niepodobna, a co nam w takt nie wpada, radzimy sobie jakoś: trochę sofistyką, trochę frazesem, trochę zwykłem zaprzeczeniem; ale faktu namacalnego nie wydłubiesz z rzeczywistości, więc tylko dziwimy mu się. Szczupaki połykają drobne rybki; jeżeli nam to przeszkadza, mówimy jedynie: dziwna rzecz, znowu znaleziono rybkę w żołądku szczupaka, a zdawałoby się...

Co do nas, mając już raz wykupiony patent niedowiarstwa pierwszej gildyi, nie dziwimy się takim „szczególnym“ objawom i prosimy, ażeby nam wolno było opierać na nich właściwe twierdzenia bez ściągania skargi o „potwarz“ i „zohydzanie najświętszych skarbów życia narodowego.“ Ani bowiem statystyka klasztorna nie jest kłamliwą, ani korespondent *Gazety polskiej* może być podejrzanym o niechęć dla duchowieństwa. Jest to mąż prawomyślny, jak widać z tego, co mu „zdawałoby się“ a co w rzeczywistości nie istnieje. Otóż prosimy, ażeby wiarogodne zeznanie tego świadka było zapisanem do protokółu dziennikarskiego i służyło nam za dowód wtedy, gdy ośmielimy się wątpić o księżym rodowodzie moralności i zbawiennym wpływie duchowieństwa na obyczaje. A nieraz jeszcze zapewne ponowimy nasze stare przekonanie, że etyka nie jest jedynie rozdziałem teologii, a nie każdy „zacny i świętobliwy“ kapłan „zacnym i świętobliwym“ kapłanem. Bezwątpienia, religia, niezmieszana z fanatyzmem, działa uszlachetniająco, między jej stróżami są ludzie uczciwi i dobrej woli, ale ani ona nie zawsze posiada dostateczną siłę i czystość, ani oni—pożądane przymioty. Ksiądz wiejski, żyjący w atmosferze zdrowej, stojący ciągle na widoku dla oczu swych parafian, powiernik uczuć, strapień i wesela ludu, często jest jego przyjacielem i działaczem pożytecznym. Co innego wielkomiejski *labuś* lub obłudny asceta: ten zwykle z religią splata politykę kosmopolityczną, występuje jako zapaśnik walki skrytej i jawnej, ojczyznę zamyka w kościele beznarodowym, nie gardzi żadnymi środkami napaści i obrony, a w szerokiej i głębokiej otchłani życia łatwo po za wzrokiem wiernych topi swe grzechy i święci niepokalaną świętością. Ta gra na szeroką skalę odbywa się w Krakowie, odbywa się we wszystkich miejskich mrowiskach kleru. Trudno nam uznać jego zgubne wpływy, a jeszcze trudniej je niszczyć. Od czasu, jak w katechizmie narodowym za bezwzględny dogmat pomieściliśmy zasadę, że katolicyzm jest najwierniejszym wyrazem polskości, musimy przyjmować konsekwentnie wszystkie jej następstwa i w każdym księdzu widzieć „zacnego kapłana.“ Daremnie upadająca pod ciężarem tej „zacności“ moralność ogółu protestuje, musi ona — jak mówią w Galicyi — „podporządkować się wyższym względom“ i tylko czasem zdradza swą niedolę w naiwnych „zdziwieniach“ publicystów, którzy umieją w potrzebie zawieszać dla nas moc obowiązującą działań arytmetycznych.

Smutno, gdy z pola pracy publicznej schodzą do grobu ludzie znakomici, ale po dwakroć smutno, gdy schodzą bez spadkobierców swego talentu. Taką bezdzietną śmiercią zakończył życie Królikowski, który w teatrze warszawskim nie pozostawia następcy. Biedny ten teatr! Po latach świetności patrzy on tylko na odlot orłów w dalekie, obce strony z rodzinnego gniazda lub na ich zgon. W całej Europie krążą te ptaki, któreby ojczystą scenę na wysokościach trzymać mogły, a wierne jej wymierają. Królikowskiemu zawdzięczała ona dużo: talent, pracę i miłość. Jak Żółkowski, jak ten olbrzym komedyi, który przeszło pół wieku podpiera ją swemi barkami, nie zatęskniwszy nigdy do wawrzynów z pod obcego nieba, podobnie i Królikowski ofiarował swe zdolności bogom domowym. Dziś dopiero, nauczeni samolubną i bezmyślnie okadzaną wędrówką artystów polskich za granicę, umiemy cenić to przywiązanie do ubogiej, własnej chaty. Królikowski rzeczywiście ją kochał, a natura pozwoliła mu być w niej jasnym promieniem. Młodość wiele nam dała i wiele nam obiecuje, ale wyznać musimy, że pewne piękne uczucia, pewne szlachetne znamiona bujniej rozwinęły się u nas w sercach starych. Starsi aktorzy polscy silniej spajali się ze sceną swojską niż młodzi i wyżej wznosili się ponad rzemiosło. Chociażby Królikowskiemu odmierzono cześć z naddatkiem, usprawiedliwionym hojnością pogrzebową, niema sporu, że był to prawdziwy *artysta.* Można rozmaicie oznaczać rozmiary jego talentu, ale wszyscy zgodzić się muszą, że nigdy zawodu swego nie spuszczał na niziny mechanicznej roboty lub niedbałego partactwa. W naszym teatrze, uprawiającym fuszerki, w naszym teatrze, w którym można stale występować bez dostatecznego wyuczenia się tekstu na pamięć lub lekceważyć role, niedające pola do krzykliwego popisu, Królikowski był wzorem, klasykiem śród rozczochranego romantyzmu, zabytkiem wspaniałej tradycyi, która wierzyła w aktorskie kapłaństwo. On nie rozumiał niedbalstwa i błaźnienia się na scenie. Gdyby miał na niej ukazać się tylko niemy, wykonałby to niezawodnie z taką samą doskonałością, jak najdłuższą rolę. Wygłaszane słowa pieścił lub hartował ustami, ani jednego nie rzucił nieoględnie, ani jednego nie skaleczył lekkomyślnie. Nieraz doprawdy aż żal było patrzeć na to mistrzowstwo, marnowane dla wzmocnienia gadanin słabych lub ozdobienia ubo-

gich, Królikowski jednak z tym samym artyzmem deklamował Mickiewicza, co monolog niedorzecznego melodramatu, bo ciągle wierzył, że on jest, a każdy aktor być powinien *twórcą* współrzędnym autorowi. Jego *sztuka* wydawała mu się równie prawowitą córką muz, jak poezya lub rzeźba. Geniuszom należny hołd składał, ale pisarzów dramatycznych niepierwszorzędnej wielkości uważał za współpracowników maszyny teatralnej, ich dzieła za surowe mniej lub więcej cenne kamienie, którym dopiero aktor przez należyte oszlifowanie nadaje wartość i blask mocny. W tym poglądzie było wiele złudzeń i omyłek, ale z drugiej strony tkwił dowód, jak wysoko Królikowski wznieść się usiłował. To też nienadzwyczajnie wyposażony przez naturę, ograniczony w swych środkach przyrodzonych, osiągnął pracą wielkie rezultaty i ciągle czarował publiczność, chociaż się tylko powtarzał. I W. Hugo zmanierował swoje pióro, które wszakże tryskało wdziękiem do późnej starości; podobnie Królikowski, chociaż dawno wyczerpał swoje pomysły i kopiował siebie, nie przestawał zachwycać widzów. Do końca bowiem pozostał w jego grze artyzm Horacyuszowski, wyrzeźbiający najdrobniejsze szczegóły „aż do paznokcia.“ W nim więc straciliśmy nietylko znakomitego aktora i świetnego przedstawiciela długiego szeregu ról, ale także mistrza, który w teatrze naszym przechowywał tradycyę dobrej szkoły, cześć dla sztuki.

Zewsząd słyszymy żale, że go nikt nie zastąpi. Niestety — prawda. Wszyscy, co stali z nim w jednej grupie, albo trzymają daleko niższą miarę, albo przez prosty kaprys losu wprowadzeni zostali na scenę, wykoleiwszy się na innych drogach. Tragika w szerokim stylu teatr warszawski obecnie nie posiada — nawet w poczwarce.

*Poseł Prawdy.*

## NA WIDNOKRĘGU.

Piękna pogoda i klęska. — Pożary. — Wystawa ruchoma. — Działalność zbiorowa. — Syndykat cukrowników. — Sprostowanie sprostowania. — Mała uwaga. — Chałat i kapota.

Przeciwieństwo interesów Warszawy i prowincyi, na które kładliśmy niejednokrotnie nacisk, uwydatnia się w roku bieżącym nawet pod względem meteorologicznym. Panujące obecnie upały są dla mieszkańców miasta „piękną pogodą,“ której strony ujemne — jak np. brak wody w wodociągach i drożyznę owoców — sowicie wykupują różne przyjemności. Dla wieśniaków zaś ta „piękna pogoda“ jest okropną klęską. W ciągu ostatniego miesiąca w wielu okolicach kraju nie spadła ani kropla deszczu, w innych zrosił on ziemię „dla oka,“ jak stróż warszawski ulicę. Od żaru słońca rola wszędzie zmieniła się bądź w twardą, popękaną skorupę, bądź w sypki proszek, stosownie do rodzaju gruntu. Wszelkie roboty w polach są niemożliwe; klęska więc nietylko w znacznej części zniszczyła plony tegoroczne, szczególniej ogrodowizny, ale dotkliwie da się uczuć i w roku przyszłym wskutek opóźnienia lub nawet zaniechania zasiewu zboża i wypalenia młodej runi. „Piękna pogoda“ niesie więc zapowiedź nowych strat i nieszczęść w blizkiej przyszłości a może i na długie lata.

Susza daje się we znaki i mieszkańcom miast prowincyonalnych. W Łodzi np. zabrakło wody i niektóre fabryki zmuszone są przerwać lub przynajmniej ograniczyć swą czynność. Tu i owdzie braknie nawet wody do picia. Rozumie się, że wzrasta również liczba pożarów, zmiejsza się zaś możność ratunku, nie mówiąc już o tem, że deszcz pełnił, przy niedostatku odpowiednich organów, czynność władz sanitarnych, opłukiwał bowiem z brudu i błota zanieczyszczone mieściny.

Pisma prowincyonalne donoszą jeszcze, że wskutek upałów coraz częściej wściekają się psy, co przejmuje strachem spokojnych obywateli wsi i miast. Z mieszkańców Warszawy następstwa tego odczuje chyba tylko dr Bujwid, któremu powiększy się liczba bezpłatnych pacyentów, bo chociaż i u nas w porze kanikuły szaleje kilku „wściekłych“ i „strasznych“ publicystów, używających swobody podczas wyjazdu redaktorów, ale napaści ich grożą chyba tylko piętom gryzionych, wyżej bowiem zębami te bezsilne w swej złości istoty dostać nie mogą.

Brak wody nie przeszkadza istnieć w Radomiu aż dwóm strażom ogniowym ochotniczym, które współzawodniczą ze sobą przy pożarach. Nie byłoby w tem nic złego, gdyby współzawodnictwo polegało na prześciganiu się w gorliwości i odwadze, ale, niestety, wzbudza ono pomiędzy przedstawicielami obu straży — miejskiej i kolejowej uczucia nieprzyjazne, wyrażające się w tem np., że jedni drugim odbierają beczki, że nietylko nie pomagają sobie, ale umyślnie przeszkadzają w ratunku itp. W Radomiu rzeczywiście dwie straże ogniowe nie były by zbytecznemi. Miasto to przed kilku laty jeszcze nie odznaczało się niczem od innych t. z. „ognisk życia umysłowego i cywilizacyi,“ co w przekładzie na zwyczajny język oznacza siedliska zastoju i ospalstwa, których mieszkańcy oprócz gry w karty i gorliwej reprodukcyi istot, podobnych sobie, nie zajmują się niczem więcej. Obecnie jednak ożywia się ono i wzrasta, ale zabudowuje się w ten sposób, że w każdej chwili znaczna część jego spłonąć może. *Gazeta radomska* uważa za swój obowiązek nawet wymienić domy, przy budowaniu których nie uwzględniono żadnych wymagań ostrożności. Oto np. dom przy ulicy Wałowej, który nie ma wcale bramy wjazdowej, w podwórzu zaś, szerokiem na dwa łokcie, spoczywają stosy śmieci i pak od towarów. Do podwórza tego przylega stara, drewniana oficyna piętrowa, w której mieszka kilkanaście rodzin żydowskich, przyczem nieraz jedną izbę zajmuje 10 — 15 osób. Jakiż to obfity zasób materyału palnego na wypadek pożaru, którego nie zdołały by ugasić nawet dwie straże, chociażby zamiast współzawodniczyć — pomagały sobie chętnie.

Wspomniałem wyżej o ospalstwie mieszkańców prowincyonalnych miasteczek. Przerzucam kilkanaście korespondencyj do pism i widzę, że jeżeli nie zdarzy się jakiś skandal o niczem więcej najgorliwsi zbieracze wiadomości donieść nie mogą. Ani jednej wzmianki o jakiejkolwiek sprawie, posiadającej znaczenie ogólne, co najwyżej skargi na urzędnika pocztowego lub na właściciela hotelu. Czyż ci ludzie o niczem nie myślą, niczego nie robią? Sądzę, że tak źle chyba nie jest, że po za zajęciami codziennemi i plotkami brukowemi istnieją rzeczy, które, ich interesują, że są przynajmniej wyjątki, które i myślą, i działają, jak mogą i jak umieją. Ale działalność ta nie wychodzi na widok publiczny, ponieważ zamyka się w ciasnem kółku usiłowań osobistych, ponieważ nie ma charakteru zbiorowego, który dopiero nadaje każdej czynności ludzkiej znaczenie społeczne. W takim stanie rzeczy nawet urządzenie teatru amatorskiego jest sprawą dużej wagi i nie ma w tem nic dziwnego, że większość korespondentów wysuwa przedstawienia teatralne na pierwszy plan. Bądź co bądź, jest to w każdym razie jeżeli nie praca, to przynajmniej zabawa wspólna, która w dodatku wychodzi po za zakres interesów brzucha i zielonego stolika. Każdy objaw rozruszania, rozbudzenia tego sennego trzęsawiska witać należy serdecznie; pożądanem jest przedewszystkiem, jeżeli pierwsze drgania życia powstają w łonie tej drzemiącej ciszy, ale i wtedy, kiedy ruch wywołują pobudki zewnętrzne, działanie ich nie mniej będzie pożytecznem. Staramy się zawsze skrzętnie zaznaczać wszelkie usiłowania w tym kierunku, podnosimy więc tu myśl urządzenia wystawy ruchomej obrazów, czem podobno zajmuje się grono malarzy warszawskich. Czytałem zdanie, że wystawa taka nie opłaci się należycie — sądzę przeciwnie. Nietylko w miastach gubernialnych lecz i w większych powiatowych znajdzie się spora liczba ludzi, którzy z rozmaitych pobudek chętnie zwiedzać będą wystawę. Jeżeli w Humaniu urządzono wystawę, która przyniosła dość znaczny czysty dochód, przeznaczony na korzyść niezamożnych uczniów, to tembardziej opłaci się wystawa w Lublinie, Łodzi, Radomiu itd. Myślę nawet, że pewna część obrazów znajdzie nabywców, na których długo czekałaby w Warszawie.

Zasadę działalności zbiorowej stawiamy tak wysoko, że oddajemy jej uznanie wtedy nawet, kiedy ma ona na celu dobrze zrozumiany interes własny jej uczestników lub interes wyłączny pewnej grupy ludzi. Nie bronimy nigdy interesów szlacheckich, owszem często wykazujemy sprzeczność ich z interesami ludu polskiego, ale podnosimy wszelkie objawy rozumnej łączności nawet w ograniczonym zakresie spraw ziemiańskich, jeżeli spójnia ta nie ma na celu krzywdy lub upośledzenia warstw pracujących, chociażby zresztą chodziło jej tylko o własną korzyść. Zapisujemy więc tu usiłowania ziemian kaliskich, którzy w trudnych okolicznościach nie założyli rąk, ale energicznie zajęli się sprawą zmniejszenia kosztów przewozu zboża i w tym celu zbudowali śpichlerze nad Gopłem i ożywili żeglugę na tem jeziorze. Obecnie dla prowadzenia berlinek kupiony ma być parowiec; transport tą drogą zmniejsza koszt dostawy o 60 kopiejek na korcu, o tyle więc podnosi dla rolnika cenę zboża. Rozumnie podjęta korzyść własna przyniesie pożytek całej okolicy, kupcy bowiem również używać zaczną komunikacyi wodnej, w rezultacie zaś dla wszystkich rolników, czy to większych czy drobnych wzrośnie dochód, ponieważ wzrosną ceny zboża.

Nie możemy jednak tak życzliwie lub chociażby wreszcie obojętnie patrzeć na zabiegi pp. cukrowników, którzy wziąwszy od skarbu w formie ulg i premij, co się tylko wziąć dało, próbują teraz własnemi siłami nałożyć na spożywców nowy haracz. Po „unormowaniu produkcyi,“ przyszła obecnie kolej na syndykat, który przy pomocy kapitału 15 milionów rubli ma „regulować handel wewnętrzny i wywóz.“ Koszta tej „regulacyi“ zapłacimy z wami czytelnicy i nie będziemy mieć nawet tej pociechy, że podtrzymujemy najważniejszą gałęź przemysłu krajowego, bo cały ten zarobek, wypompowany z kieszeni spożywców, podzielą między siebie główni działacze syndykatu, gałęź zaś straci wiele drobniejszych pręcików. Będzie to dalszy ciąg spekulacyj, której tajników dotychczas nie udało się jeszcze dokładnie zbadać, chociaż wyjaśnione już teraz szczegóły nie zostawiają wątpliwości co do jej charakteru. Obiecywano, że byle rząd wyznaczył premium wywozowe, następstwa nadprodukcyi znikną. Zbywającą od spotrzebowania wewnętrznego ilość cukru określiła sama strona interesowana, nadmiar ten wywieziono, skarb wypłacił premium, cukrownicy jednak skarżą się, że ceny nie wzrosły i żądają „ograniczenia produkcyi.“ Żądanie to popierają głównie ci potentaci, którzy zagarnęli już cały zysk z premiów, którzy pobierają dziś jeszcze olbrzymie dywidendy i pragną ograniczyć wyrób cu-

kru dlatego, ażeby zgnębić słabszych współzawodników. Oni to obniżają cenę cukru— manewr często używany w walce konkurencyjnej — ale zarazem nie chcą ponosić żadnych strat, więc, zapomocą wybłaganych wsparć lub wymyślonych własnym rozumem kombinacyj, starają się powetować „wydatki bojowe“ współzawodnictwa. Słabsi, mniej zasobni muszą uledz, zwłaszcza że sami dobrowolnie lezą w sieć. Nikt nie ma obowiązku powstrzymywać ich od samobójstwa, ale powinnością uczciwej prasy jest, nie łudząc się frazesami o znaczeniu przemysłu cukrowego, o związku jego z interesami rolnictwa i klas pracujących, przedstawiać istotny stan rzeczy. Dopóki, jak to było w roku zeszłym, nie mówiąc już o poprzednich, cukrownie przeciętnie dają blizko 10% dochodu, dopóki niektóre z nich wypłacają 15, 20 lub 25% dywidendy — nie może być mowy o zachwianiu tej gałęzi przemysłu i przeciw tym wymownym cyfrom żadne argumenty o nadprodukcyi, żadne wyliczenia amatorskie nic nie poradzą. Nie znaczy to jednak, żeby istnienie pewnej liczby cukrowni nie było zagrożonem, ale te ratować się powinny własnymi środkami; zresztą: co to kogo obchodzi, że kilka przedsiębiorstw zbankrutuje. W innych gałęziach przemysłu co roku prawie dzieje się to samo, bankruci jednak nie załamują publicznie rąk i nie wołają na rynku o ratunek.

W jednej z poprzednich kronik wspomniałem, że w Pabianicach wypłaty należności robotnikom odbywają się w szynku, później na podstawie doniesień innych pism sprostowałem tę wiadomość, że miejscem obrachunku jest sklepik spożywczy. Okazuje się jednak, że skrupulatność moja była niepotrzebną, bo oto *Tydzień* pisze, że nietylko jeden fabrykant B., ale i inni koledzy jego są w stosunkach z szynkarzami i robią ich pośrednikami przy wypłacie. Posłuchajmy opowiadania korespondenta:

„Oto jest sobota — wieczór. Tłumy powychodziły z fabryk i pędzą do karczmy. Przybytki Bachusa zapełniają się wkrótce po brzegi, pijatyka — aż strach! Skądże ta wesołość? — pyta każdy. Nie, to tylko „wypłata,“ czyli wypełnianie kontraktu zawartego z szynkarzem, który dostaje do rąk cały tygodniowy zarobek robotnika i nie wcześniej mu wydaje pieniądze, aż ten coś kupi.“

„Taki „uczciwy porządek“ praktykuje się w fabrykach tutejszych od lat kilkunastu.“

„Czasem dzieje się gorzej, dyrektor pewnej fabryki za swojem pośrednictwem stawia dwa szynki i „pozwala“ robotnikom brać z nich wszystko na kredyt. A że w szynkach bywa tylko ponętna wódka, więc tej przy odbieraniu tygodniowej zapłaty, robotnik, w miejsce dwóch lub trzech rubli, dostaje od p. dyrektora kilka złotych.“

Proszę zwrócić uwagę na tę cyfrę. Robotnik tygodniowo zarabia 2—3 rubli, tj. tyle, że może zaledwie nie umrzeć z głodu i z tych okruchów więcej niż połowę zabiera mu jeszcze chciwy zysku kapitalista.

W innej, fabryce znowu wypłacają pracującym kwitkami, za które można kupować produkty spożywcze u uprzywilejowanych sklepikarzy. Jeżeli zaś który robotnik skarży się na to, zostaje wydalonym z fabryki.

Praca nietylko tę daninę składa kapitałowi, płaci ona również jego przedstawicielom haracz w naturze. W pewnej fabryce przyjmują do roboty tylko dziewczęta przystojne, każda zaś z nich musi być „posłuszną bezwarunkowo.“ Korespondent o niecnocie tej nie chce mówić szczegółowo, bo „nicznosi ona światła dziennego.“ Owszem, do światła ciągnąć należy tych łotrów, oszustów i rozpustników, ażeby zobaczyć ich w całej ohydzie.

Gdyby nie prześladowania polaków w Prusach, nie wiedzielibyśmy o setnej części tych bezeceństw, które dzisiaj wychodzą na światło dzienne. Dobrze, że przynajmniej w ten sposób wypłynęły one na wierzch, ale nie mogę bez zgrozy pomyśleć, że dopóki nasze uczucie narodowe nie zostało zadraśniętem, milczało w nas uczucie ludzkie i spokojnie patrzyliśmy na tę ohydę, na ten nikczemny wyzysk pracy i ciała ludzkiego. I w dzisiejszem oburzeniu dźwięczy jedna fałszywa nuta: oburzamy się głównie dlatego, że czynią to niemcy. Ale czy tylko niemcy? Zgodzę się na to, że wyzysk niemiecki jest bardziej bezwzględnym, bardziej nieludzkim i że na to wpływa właśnie obce pochodzenie przedsiębiorcy, ale czy i polacy fabrykanci są bez winy? Nie myślę bronić niemców, chciałbym tylko, żeby zebranym faktom nie dawano fałszywego oświetlenia. Fabrykanci pabianiccy wyzyskują nie dlatego, że są niemcami, lecz dlatego że są niemcami, wyzyskują bezwzględniej i okrutniej. Ale czy z tej, czy z owej racyi krzywdzą nas i wyzyskują, my krzywdę tę zapisujemy do ich rachunku.

Chłop polski wywalczył już sobie nawet miejsce w literaturze, więcej jeszcze—pozyskał pochwałę *Słowa*, nie może tylko znaleźć dostępu do wagonu „dla niepalących.“ Demokracya nasza tak daleko nie idzie, chociaż jak twierdzi kronikarz *Gazety radomskiej*, w tym samym wagonie, do którego nie puszczano chłopa, siedziało kilkunastu izraelitów w chałatach. Nie mogę zrozumieć: dlaczego chałat ma być lepszy od kapoty, ale nie rozumiem również dlaczego chałat ów ma być wygnanym z przybytku „dla niepalących.“ Czyż niesprawiedliwość, wyrządzona jednemu, da się zrównoważyć tylko wyrządzeniem niesprawiedliwości drugiemu? Zresztą nie można być demokratą bez pewnych poświęceń, trzeba się wyrzec więc arystokratycznej drażliwości nosa.

*J. Nieborski.*

# CUDZE GŁOSY.

## PRASA ROSYJSKA.

**Grażdanin** w formie rozmowy redaktora z dyplomatą, wypowiada ciekawe uwagi o „intrydze“ Battenberga.

— „No, mam nadzieję że nareszcie koniec— rzekł do mnie przyjaciel, wchodząc z depeszą o wyjeździe księcia Battenberga z Bułgaryi...“

„A ja mu na to,

— „Nie, serce, to nie koniec żaden, tylko początek nowej epopei, a końca jej ani widać. Prawda, że wyjechał, ale cóż stąd, kiedy zamianował własnowolnie regencyę, będącą zupełnym równoważnikiem jego zawistnej osoby i mającą na czele swem tego samego Karawełowa, który był tajnym zausznikiem księcia. Nie wyjechał przeto książe, tylko odegrał nową komedyę i zastąpił siebie wielogłową hydrą...

„A cóż to za szyderstwo było w depeszy, którą śmiał posłać z Ruszczuku Monarsze rosyjskiemu, proponując Mu wysłanie komisarza, ks. Dołgorukowa; ile cynizmu w tym odjeździe jego z Bułgaryi, nibyto na Rosyi skinienie, choć kłamał, że Rosya miała mu dać jakieś rękojmie, i zarządził regencyę nie poradziwszy się Rosyi...

„Tak więc zamiast księcia Aleksandra podszytego Karawełowem, mamy do czynienia z całą spółką Battenberg et comp. urządzającą tak sprytnie swe interesy, że do przyszłego sobrania gotowa niedopuścić rzeczywistych przedstawicieli narodu, i że pierwszą kwestyą, jaka wypłynie na horyzoncie nowego stanu rzeczy w Bułgaryi, może ewentualnie stać się kwestya pochodu przeciw Rosyi...

„Dalej, też same pierwiastki anarchii pozostały w całości i gotowe są każdej chwili pchnąć Bułgaryę i wydać ją na pastwę nieokiełznanych namiętności politycznych. Książe Aleksander postarał się na odjezdnem tak pozostawić interesy, aby wszystkie żywioły były gotowe do walki bratobójczej i wojny domowej, tak, aby przy pierwszym kroku jakiby Rosya uczyniła w Bułgaryi, spotkać ją mógł widok rozpasanej anarchii i krwi bułgarów, walczących z bułgarami! W łonie ludu wytworzono stronnictwa polityczne, w wojsku, w zarządzie cywilnym, wśród duchowieństwa, wszędzie rozdwojenie, i po tych wszystkich gwałtach i oszukaństwach, rezultatem tego wszystkiego zdaje się być prawie niewątpliwy fakt, że z dniem wyjazdu księcia Aleksandra przedstawiciele sympatyj bułgarskich względem Rosyi będą nazywani stronnikami anarchii, a przedstawiciele battenberszczyzny, karawełowcy, ulegający Anglii i opierający się na wojennem stronnictwie karyerzystów, uchodzić będą w oczach narodu i Europy za reprezentantów porządku... I tym sposobem za sprawą tego Battenberskiego szalbierza Rosya stała się w Bułgaryi synonimem bezrządu, a on sam— symbolem patryotyzmu, niepodległości bułgarskiej i porządku.

„Tak rozumiem ja dzisiejszą sytuacyę, i jeżeli wspomnę o flocie angielskiej na morzu Egejskiem, o żądaniu Anglii, aby wszystko, co dotyczy Bułgaryi rozstrzygał areopag wszystkich mocarstw, które podpisały traktat berliński— to nietrudno dojść do smutnego wniosku, że i po ustąpieniu księcia, nibyto dla satysfakcyi Rosyi, polityka angielska zdołała w kilka dni przerobić wypadki w taki sposób, że stan rzeczy obecny w Bułgaryi jest jeszcze gorszy dla nas, a jeszcze wygodniejszy dla Anglii, aniżeli za księcia Aleksandra.

„Teraz rozumiem dlaczego niepozwolono księciu abdykować zaraz po otrzymaniu odpowiedzi od Cesarza rosyjskiego. Nie on był potrzebny, tylko potrzeba było trochę czasu, aby urządzić konspiracyę wojenną przeciw Rosyi, i dać przewagę w nowym rządzie partyi wojennej, antirosyjskiej, tak iżby utworzyła się cała administracya w kraju niechętna dla Rosyi, a wszyscy wpływowi stronnicy Rosyi aby się znaleźli za nawiasem; nareszcie aby złożyć fałszywe zebranie narodowe, a to wszystko pod egidą i bezpośrednim kierunkiem angielskich agitatorów w Bułgaryi...

„Jakoż faktycznie, po wyjeździe księcia Aleksandra zaczynają się już otwarte w Bułgaryi rządy angielskie.

„Wobec tego, myślę, że nadeszła chwila, w której Rosya bez straty czasu powinna zająć się przyprowadzeniem Bułgaryi do tego stanu, w jakim się znalazł ten kraj po traktacie berlińskim, to jest wziąć na siebie zaprowadzenie porządku w tym kraju — i, n'en deplaise angielskiej dyplomacyi — właśnie traktat berliński zapewnia Rosyi to prawo... A jeżeli Anglia nie chce tego, to niechaj powie.“

**Moskowskija Wiedomosti** zapatrują się również pesymistycznie.

„Battenberg wyjechał, ale Battenbergia pozostała i z nią Rosya liczyć się musi. W każdym razie zorganizowała się ta partya, która przy pomocy intryg angielskich będzie utrzymywała związki z byłym księciem i w kraju, który dopiero co zaczął żyć, szkodliwy ferment trująco oddziaływać będzie. Battenberg wydalony z Bułgaryi przez samych bułgarów, nie poruszał żadnej kwestyi z jej konsekwencyami. Battenberg, zmuszony do opuszczenia Bułgaryi na żądanie Rosyi i jakby wbrew samym bułgarom, staje się kwestyą, i Anglia już jest gotowa wystąpić z nią, jak o tem świadczą dzisiejsze telegramy. Francya, podejrzywająca we wszystkiem intrygę niemiecką, przypuszcza, że Rosya wskutek wypadków bułgarskich utraciła wszelką swobodę działania, i ze zmienionego tonu jej prasy sądząc, przybiera nieprzyjazną względem nas postawą i nie będzie dziwne, jeżeli się niezadługo, jak to bywało dawniej, znajdzie na pasku Anglii, a zatem przeciw Rosyi. Powtórne wydalenie księcia Battenberga przez przyjazne nam mocarstwa, które w tem brały udział, będzie nam policzone za wielką oddaną nam usłu-

gę. Organ hr. Taaffego *Presse* już się domaga kompensaty. Były książę bułgarski jeszcze nie wyjechał ze swoich byłych posiadłości, kiedy Austro-Węgry już przychodzą z rachunkiem, i prawdopodobnie historya powtórnej abdykacyi ks. Battenberga bardzo drogo nas będzie kosztowała.

Rosya będzie musiała zwalczyć dużo trudności, nim w Bułgaryi zapanuje porządek ustanowiony w traktacie berlińskim. Rosya, naszem zdaniem, będzie miała jeszcze do czynienia nie z samą tylko Anglia, która ściągnęła swoją flotę do Beyrutu, posłała p. White'a do Stambułu, oraz jakiegoś specyalnego gońca królowej Wiktoryi do Sofii. Powinniśmy pilną zwracać uwagę nietyle na owe demonstracye, ile *na dobre usługi, których nie szczędzą nam z innych stron..*."

„Raczej Battenberg, raczej dziesięciu Battenbergów — powiada w innem miejscu p. Katkow — aniżeli plątanie Rosyi w rozmaite związki."

**Nowoje Wremia** nie jest także wolne od pewnych wątpliwości i przeczuć:

„Powtórny odjazd księcia Battenberga z Bułgaryi czy nie zapowiada też powtórnego powrotu jego do Bułgaryi? Doprawdy nie można by się temu dziwić. Dlaczego, w rzeczy samej, nie miałby powrócić po raz drugi? Człowiek teraz swobodny, czasu wolnego ma dosyć. W Bułgaryi ma mnóstwo przyjaciół i stronników. W Galicyi najpewniej znów będą go spotykali i przeprowadzali z wieńcami i owacyami, z uroczystem „padam do nóg." A przytem cała Europa mówić o nim będzie jak o bohaterze dnia: jedni z prawdziwem współczuciem, inni w przewidywaniu jakiegoś skandalu dla Rosyi... I samochwalstwo i chęć obrażenia Rosyi i nareszcie rozjątrzenie, zuchwalstwo człowieka, który nie ma nic do stracenia, a wypadkiem może wygrać grę — wszystko to przemawia na korzyść możności powrotu księcia Battenberga do Bułgaryi...

Wewnętrznych powodów do tego także nie zabraknie. Bułgarscy, nagle kreowani kapitanowie, z którymi tak się całował książe Battenberg, bezwątpienia zechcą odwzajemnić się grzecznościami: z Battenbergiem są oni związani jeżeli nie jak „dzieci" jego, to jak ludzie, którzy mu zawdzięczają szybką karyerę, a kapitanowie ci są teraz panami położenia w Bułgaryi. W ręku ich rzeczywista siła — wojsko, oni są rządcami kraju, zostającego na stopie wojennej i dlatego mają wszelkie środki zwołać takie „Wielkie narodowe sobranie," które bez wahania gotowe znów obrać Battenberga księciem Bułgaryi...

Pozwólcie państwo, ale w takich warunkach powtórny powrót księcia, mieć będzie nawet daleko większe znaczenie i sens, niż poprzedni. Wtedy wrócił Battenberg do Bułgaryi w imię „zasady monarchicznej," teraz może ukazać się w imię zasady „konstytucyjnej;" bo ukazałby jako władca ulegający życzeniom „kraju," który dobrowolnie opuścił; ukazałby się aby przychylić się do żądań przedstawicieli i pełnomocników tego narodu, któremu, jak to już oświadczył, gotów jest służyć do ostatniej kropli krwi... I Europa bezwątpienia miałaby tem więcej zasady do współczucia dla księcia, a nawet mogłaby mu przyklaskiwać albowiem byłby to dowód uznania dla „zasady konstytucyjnej," dla „woli narodu" — Europa nie może nie uznawać swej własnej zasady; a przytem rzecz najgłówniejsza—był by to rzekomo ogromny skandal dla Rosyi.

Wtedy naturalnie, książe Battenberg zwróci się nie do Rosyi, ale do Europy, jak mu to doradzały angielskie gazety. A Europa bez wątpienia nie będzie namyślała się, jak jej postąpić należy w podobnych okolicznościach. Na takie wypadki jest przecież cały arsenał wypróbowanych środków, konferencyj, narad, kongresów. Zanim zaś dyplomaci wymyślą wszystkie formuły i kombinacye, dla Rosyi upłynie wiele chwil nie bardzo przyjemnych... A i w Bułgaryi może znów nawarzą kaszy, którą przyjdzie w końcu spożyć tejże Rosyi, jeżeli nie będzie umiała bronić swoich interesów w dyplomatycznej kampanii..."

**Petersburskija Wiedomosti** p. t. „Polska otwartość" zamieściły artykuł, którego główniejsze ustępy podajemy.

„Upojeni widocznie owacyami, urządzonemi przez się księciu bułgarskiemu, krakowscy i lwowscy dziennikarze w zabawny sposób obrócili nasze słowa, dotyczące owego zwrotu ku zdrowemu pojmowaniu polityki, który jakoby daje się zauważyć wśród polaków galicyjskich w stosunku do Rosyi."

I tak, *Czas* mniema, że o kompromisie rosyjsko-polskim pierwsza zagadała prasa rosyjska, i dumnie powiada:

„Mybyśmy chcieli najpierw wiedzieć, jaki nastąpił zwrot ze strony rosyjskiej i jakie są dane że nastąpił, abyśmy wiedzieli, jakie mamy żywić nadzieje."

Jak widzimy, *Czas* akurat odwrócił kwestyę. Komentując nasze wyrazy, że nawróciły polaków przedewszystkiem obce prądy, *Czas* w głębi domysłu powiada, że chcielibyśmy przeciągnąć polaków na stronę Rosyi tanim kosztem. Dowód to tylko, jaka to prawda, że polacy doszli do otrzeźwienia, że usposobienie ich się zmieniło, kiedy gazeta krakowska w ten sposób może kwestyę odwracać.

Nielepsza i *Gazeta narodowa*. Ta oburza się nawet za to, że pomawiamy polaków o otrzeźwienie. „Umizgi — powiada—to gra fałszywa i niezręczna, to rzeczy obliczone na obałamucenie opinii publicznej."

Wszystko to nie jest nowe i nikogo nie może zdziwić. W rezultacie tylko sceptycyzm rosyjski uzyska nową podporę. Ale co to za dziecińżstwo, jaka paradoksalna naiwność tych pism zakordonowych, jeżeli mogą przypuszczać, że *teraz* ze strony Rosyi mogą być świadczone polskim marzycielom jakiekolwiek „umizgi." *Teraz*, to jest w chwili tryumfalnego pochodu przez Galicyę księcia Battenberga, „w którego żyłach krew polska płynie," kiedy w Podwołoczyskach witali go jako „kandydata na króla polskiego," kiedy były redaktor *Strażnicy* i *Sztandaru* Gniewosz wznosił okrzyk: „niech zginą jego zdrajcy!" kiedy wogóle polacy tak widocznie ujawnili swą nienawiść względem Rosyi. Czyż w takiej chwili z rosyjskiej strony może się dać słyszeć głos o „kompromisach" i „umizgach?"

---

## GÖTHE I PANNA WOŁOWSKA.

Pomiędzy poezyami Göthego znajduje się zgrabny madrygał, znany pod napisem „Do panny Kazimiry Wołowskiej;" składa się on z sześciu wierszy następnej treści: „Testament Twój rozdaje śliczne dary, którymi Cię przyroda obdarzyła; każdy się cieszy z zapisu; ale najszczęśliwszym byłby ten, ktoremubyś całą siebie przekazała.

Jako komentarz do niezupełnie zrozumiałego początku wiersza, czytamy własne poety wyjaśnienie:

„Panna Wołowska, siostra pani Szymanowskiej, dręczona urojonemi może cierpieniami, piękna i miła, czasami smętnie nastrojona i o śmierci gwarząca. Pewien dowcipny znajomy wpisał do albumu jej testament, w którym najmilsze swoje przymioty i zalety zapisuje pojedynczo różnym osobom. Był to żart nader wesoły, bo treść zapisów odnosiła się albo do wad, albo do zalet spadkobierców; ja zaś napisałem wiersz ten właśnie w tej myśli."

Nie wiedziano jednak dotychczas, kto był autorem owego testamentu i jak brzmiał takowy; dopiero jeden z ostatnich numerów tygodnika berlińskiego *Gegenwart* (33) przynosi nam wyjaśnienie.

Pan Robert Falck zawiadamia nas, iż w albumie Kazimiry W., znajdującym się w rękach żyjącej jeszcze jej siostry (?), znalazł oryginał owego testamentu, którego autorem był hr. Teodor Rastopczyn, sławny gubernator moskiewski z r. 1812.

Brzmi on następnie (tłomaczę dosłownie z pierwowzoru francuskiego):

TESTAMENT,

czyli pierwsza i ostatnia wola pewnej młódej osoby, w którą wmówiono, iż ma wkrótce umrzeć.

1) Zagrożona będąc zgonem przez zbytek zdrowia i czując, iż pani śmierć zbliża się do łoża mojego, w którem sypiam spokojnie, dyktuję rozporządzenia moje, naznaczając wykonawcami ich na tym świecie pana Rossiniego, a na tamtym W-go Händla.

2) Zapisuję dowcip mój pierwszej lepszej młodej osobie, która go straci.

3) Duszę samolubom.

4) Serce bogaczom.

5) Przywiązanie do siostry jej dzieciom.

6) Oczy moje młodym pannom, na które nikt nie patrzy.

7) Zęby kobietom straszliwie brzydkim.

8) Płeć moją albinosom.

9) Kibić sierotom.

10) Spojrzenie moje matkom nieszczęśliwym, które proszą za dziećmi swojemi.

11) Szklaneczkę, z której pijałam wody karlsbadzkie, pierwszemu królowi, który tu przybędzie.

Podpisuję się po raz ostatni
Kazimira Wołowska.
Podpis poświadcza
Teodor hr. Rastopczyn,

19 lipca 1823. Na przylądku dobrej nadziei.

Zaraz dalej hr. R. napisał epitafium, czterowiersz francuski, dość słaby.

W miesiąc potem panna Wołowska znajdowała się w Maryenbadzie, gdzie bawił podówczas Göthe. Prosiła go, aby do jej albumu coś wpisał. Spełniając jej życzenie, sędziwy poeta przysłużył się jej wspomnianym madrygałem, biorąc za osnowę powyższy testament. Działo się to 18 sierpnia 1823 r. Lecz gdy się okazało, że panna Wołowska nie umie po niemiecku, Göthe nazajutrz przełożył wiersz swój na język fęzyk francuski i wpisał tłomaczenie do albumu z datą 19 sierpnia 1823, oświadczając przy tem (jak utrzymuje p. Falck, powołujący się na świadectwo siostry panny Kazimiry (?)), iż czyni dla niej jedyny tego rodzaju wyjątek („C'est une exception unique en Votre faveur."). Przekład francuski jest prawie dosłowny, nierymowany, zawiera parę drobnych usterek językowych. Niemcy uważają go za jedyną próbę Göthego przekładania własnych wierszy.

W wiadomości, podanej przez p. Falcka, znajdują się pewne wątpliwości, które zresztą nie zmieniają rzeczy. Oznaczyłem je znakami zapytania.

Która to siostra Kazimiry W. ma być jeszcze żyjącą? Marya Szymanowska umarła w r. 1832. Ta to ostatnia była znakomitą fortepianistką, ale nie Kazimira, jak utrzymuje w artykule swoim p. Falck. W czyich rękach znajduje się album Kazimiry i kto p. Falckowi go udzielił, a także szczegółów, które opowiada?

Dodać też muszę, iż p. F. pisze stale Wotowska, chociaż w dziełach Göthego wyraźnie stoi Wolowska; uwiodło go nasze *ł* przekreślone, które nie umiejący po polsku zwykle biorą za *t*.

*Jan Karłowicz.*

---

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Uniwersytet warszawski.** Według sprawozdania urzędowego w ubiegłym roku szkolnym uniwersytet liczył 34 profesorów zwyczajnych, 21 nadzwyczajnych, 11 docentów, 5 lektorów i 1 prywat-docenta. W składzie profesorów zaszły liczne zmiany, opuścili wszechnicę: prof. Łuszczkiewicz, Kryszka, Baranowski, Szymanowski itd., mianowani zaś zostali: pp. Sazanowicz, Uljanin, Nazimow, Łukjanow, Stolnikow, Kapnstin i Tumas. W początkach r. z. było 1,240 stud., 7 wolnych słuchaczów i 139 farmaceutów. 141 uczących się opuściło uniwersytet w ciągu roku, 173 po ukończeniu kursów. W r. b. wstąpiło 193 studentów, obecnie więc znajduje się 1,119 stud., 150 farmaceutów i 10 wolnych słuchaczów. Suma wsparć i stypendyów wynosiła 52,137 rs. 57 kop., pod tym względem uniwersytet warszawski lepiej jest uposażony niż

inne, bo nawet w petersburskim przy podwójnej liczbie studentów, zapomogi i stypendya wynosiły tylko 77,000 rs. Medale złote otrzymali studenci: Maksymilian Winawer, Stanisław Pfafius i Franciszek Wernenko.

**Odznaczenie.** Redaktor *Moskowskich Wiedomosi* p. Katkow, otrzymał wysoki order św. Włodzimierza 2 klasy „w uznaniu jego płodnej działalności na polu naukowo-wychowawczem i ciągłej, wytrwałej gorliwości, z jaką przez cały szereg lat nieodstępnie dąży do zaszczepienia w umysłach jasnego pojęcia o prawdziwych podstawach bytu państwowego w Rosyi.“

**Wartość** rozmaitych wyrobów wełnianych, używanych przez ludzi, wynosi we Francyi 8 rs. na głowę, w Anglii, Belgii i Holandyi — 7 i pół, Szwecyi — 7, w Niemczech i Hiszpanii — 4 i pół, w Austryi — 3, we Włoszech 2 ruble, wreszcie w Rosyi 1 rs. 55 kop. Względy ekonomiczne grają tu ważniejszą rolę, aniżeli warunki klimatyczne.

**Więzienia.** We wszystkich więzieniach w państwie rosyjskiem znajdowało się w r. z. 792,933 osób. O warunkach sanitarnych powziąć można niezbyt szczególną opinię, ponieważ z tej liczby 84,688 przebywało w szpitalach więziennych.

**Matejko** wykończył nowy obraz „Pieśń“ treści fantastyczno-religijnej.

**Bibliografia.** Piotr Chmielowski: *Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.* Wydanie trzecie. Warszawa.

Tegoż: *Studya i szkice z dziejów literatury polskiej.* Serya I i II, 2 tomy. Warszawa.

— Zygmunt Kaczkowski: *Abraham Kitaj*, powieść historyczna z czasów króla Jana, tomów 2. Warszawa.

— Spirydion: *Kodeks światowy*, czyli znajomość życia we wszelakich stosunkach z ludźmi. Kraków.

— Stefan Rożański: *Nauka rachunków*, dla samouków. Warszawa.

**Żyjątka w lodzie.** Prof. Leidi znalazł w bryle lodu w której było wiele pęcherzyków napełnionych wodą, drobne robaki, długie na 5—6 milimetrów, dotychczas nieznane naturalistom. Robakom tym nadano nazwę *lumbrica glacialis*.

**Trzęsienie ziemi**, jakie nawiedziło południowe kraje Europy i Amerykę, astronom Wiggins przepowiedział jeszcze w 1868 r. I nawet ściśle wyliczył datę. Według zdania jego, w roku przyszłym szaleć będą wielkie burze, około 20 września.

**Demonstracya.** Robotnicy w Lipsku w przeddzień „narodowego“ obchodu zwycięztwa pod Sedanem, zdarli wszystkie wieńce z t. z. dębu pokoju i ścięli samo drzewo, które miało być pamiątką zwycięztwa odniesionego nad Francyą.

**Własne telegramy.** *Kuryer warszawski* w rubryce „telegramów własnych“ pomieszcza jeden, który donosi, że „wierzchowiec cesarza austryackiego zginął.“ Zapewne wypadek ten posiada niepojętą dla zwykłych śmiertelników doniosłość polityczną, spodziewać się jednak można, że nie zmieni „żywotności korony“ dla Galicyi.

**Węgiel kamienny.** Wszystkie kopalnie w Królestwie wyprodukowały w roku zeszłym 108,075,009 pudów węgla.

**Pręgierz.** W Poznaniu istnieje zabytek z dawnych czasów, pręgierz zbudowany jeszcze w 1535 roku. U szczytu słupa znajduje się napis, który byłby zupełnie stosownym, gdyby w tem miejscu hańby wystawiono za karę tych, co sprzedają ziemię niemcom.

*Disciti justitiam moniti non temnere Divos,*
*Hic vendidit auro patriam.*

Są to słowa wyjęte z *Eneidy* Wirgiliusza.

**Zmarli.** Jan Królikowski, znakomity artysta dramatyczny. Urodził się w Warszawie w 1820 r. Ojciec jego był nauczycielem języka polskiego i literatury w Poznaniu. Jan Królikowski wystąpił po raz pierwszy na scenie w Lublinie 1836 r. w komedyi „Wszystkowiedz,“ wkrótce potem objął role dramatyczne, w 1843 r. występował w teatrze krakowskim, w 1846 przeniósł się do Warszawy i w ciągu lat 40 pozostał na stanowisku. Na pogrzebie artysty znajdowało się, jak oblicza *Kur. warsz.* około 100,000 osób. Nad grobem wygłosił piękną przemowę p. Kotarbiński.

— Marceli Madejski, znany adwokat, wice-prezydent Lwowa i poseł na sejm krajowy.

— F. Mikulski, utalentowany rzeźbiarz.

— J. Bieszczad, artysta malarz.

— Ludwik Löwe, przyjaciel Lassalle'a, wybitny przedstawiciel stronnictwa postępowego w sejmie niemieckim.

— Konstanty Goniewski, obywatel ziemski z lubelskiego. Zmarły wydał za granicą kilka utworów poetycznych niemałej wartości, przetłomaczył również wierszem „Don Carlosa“ Schillera.

— Rafał Hadziewicz, malarz, b. profesor malarstwa historycznego w uniwersytecie warszawskim przed 1830 r., później zaś profesor szkoły sztuk pięknych aż do jej zwinięcia.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*P. W. S. w Poznaniu.* Słownik mniejszy Szmita rs. 1 k. 80, większy Potockiego rs. 7 k. 50. Gramatyka Goworowa, trzy części rs. 1.

*Jasieńczykowi.* Zaledwie możemy uwierzyć, że Pan mieszka w kraju i przypuszcza taką możliwość. Czy Pan świeżo nie przybył zdaleka?

*Prenum. w Lublinie.* Hirszfeld, ale obszerna, krótkiej — niema.

## OFIARY.

*Na wpis dla uczniów.* Smagłowski kop. 40. Regina Eisenman i Bernard Lauer rs. 25 dla uczniów bez różnicy wyznania.

*Do rozporządzenia redakcyi.* Od U. D. N. rs. 20.

## Ogłoszenia.



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Сентября 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.